WTOREK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 66 3 CZERWCA 1975 R. CENA 1,50 ZŁ

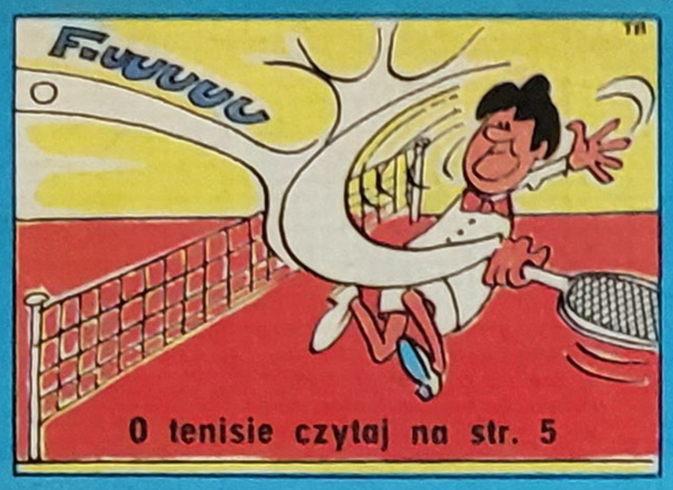

LATO ENTUZJASTÓW WŁÓCZĘGI

czyli

LEW-75

czeka na Was!

Już jutro możesz wyruszyć na pierwszą wakacyjną wycieczkę, a „Świat Młodych" będzie Ci w niej towarzyszył. Ręczymy za jedno: nikt nie będzie się nudził! Przygotowaliśmy dla Was wiele propozycji, będzie więc z czego wybierać.

Wakacje ze „Światem Młodych" dają Ci szansę.

● Wzięcia udziału w 10 wycieczkach, z których każda jest inna, poświęcona odkrywaniu innych spraw, ludzi, miejsc. A więc czeka na Ciebie 10 tajemnic do rozszyfrowania!

● Rozwoju tężyzny fizycznej z możliwością sprawdzenia postępów, jakie w tym względzie poczyniłeś w czasie wakacji. Pamiętaj: — Zdrowy duch? Tak! Ale tylko w zdrowym ciele!

● Wydrukowania w swej gazecie super-genialnego własnego opisu najciekawszej wakacyjnej przygody, o której tym sposobem dowie się cały świat. I słusznie!

● Lepszego poznania swych cech i możliwości psychicznych, aby Twój rozwój przebiegał harmonijnie. — Poznając samego siebie zyskujesz nowego przyjaciela! — oto jedno z naszych haseł.

● Skompletowania Letniej Encyklopedii Wędrowników, liczącej 88 stron, która po latach stanie się dla Ciebie najwspanialszą pamiątką z lata 1975 roku!

● I w ogóle — spędzenia wakacji tak, że już lepiej nie można!

Dalsze rewelacyjne szczegóły już w numerze czwartkowym „Świata Młodych".

Zdjęcie: Marek Szymański

V Międzynarodowy Wakacyjny Turniej Piłkarski o Puchar „Świata Młodych"

SZANSA SPEŁNIENIA MARZEŃ

Już tylko kilka dni pozostało do rozpoczęcia V turnieju piłkarskiego o puchar naszej redakcji. 9 czerwca wybiegną na boiska przyszli następcy „srebrnej" drużyny. Przez blisko siedem tygodni trwać będzie pasjonujący piłkarski maraton, którego nagrodą jest awans do krajowego finału, a następnie paszporty na finał międzynarodowy.

Nie zmarnujcie więc okazji. Już dziś skrzyknijcie chłopaków, zorganizujcie zespół. Możliwe, że spełnią się wasze marzenia o wielkiej piłkarskiej przygodzie, o grze w biało-czerwonym stroju z orłem na piersiach.

Regulamin turnieju podajemy na stronie 5.

Zdjęcie: K. Adamowski

Zawody olimpijskich talentów

KOLEJNY REKORD POBITY!

Tego wyczynu dokonała 15-letnia Ewa Szydłowska z Gliwic na zawodach 3 maja br. w Katowicach, pokonując dystans 1 500 m w czasie 4:37,8 sek. Jest to wynik lepszy od dotychczasowego oficjalnego rekordu Polski młodzików o 3,7 sek.!

Trenerem Ewy jest pan Klaus Czech z Gliwickiego Klubu Sportowego „Piast".

Zawodniczce i jej trenerowi serdecznie gratulujemy.

Komitet Zawodów

Samorząd uczniowski naszej szkoły w Osielcu zorganizował imprezy poświęcone „Dniom Kultury, Oświaty, Książki i Prasy". Obok tradycyjnych imprez, przygotowaliśmy także liczne konkursy związane tematycznie z książką i lekturami szkolnymi. Dla starszych klas zorganizowaliśmy dyskotekę, a dla młodszych projekcje filmów z serii „Bolek i Lolek"

Święto książki

oraz „Baśnie i waśnie". Zaprosiliśmy także teatrzyk „Rabcio-Zdrowotek", który pokazał nam ciekawe widowisko lalkowe. Przez cały czas na terenie szkoły trwał kiermasz książek. Najważniejszą jednak imprezą było otwarcie szkolnej księgarni „Bibliofil". Wszystkie klasy naszej szkoły otrzymały szczegółowy zestaw imprez, a dokładny ich terminarz w formie dużego plakatu umieściliśmy na zewnątrz budynku szkolnego. W ten sposób uczciliśmy święto książki, zapewniając sobie jednocześnie przyjemną zabawę. Wkrótce wakacje!

Przewodnicząca samorządu
Zofia Wronka

PACHNIE JUŻ LATEM...

KATOWICE (HSI). Na początku maja odbył się rajd Komendy Hufca Katowice-Wschód — „Drogami Zwycięstwa". Zabawnie zwące się patrole ruszyły z Korbielowa na wybrane przez siebie trasy. Beskidy, choć niby niewysokie, pokryte były śniegiem, a na Hali Miziowej odbywały się właśnie zawody w slalomie gigancie z okazji „Dnia Zwycięstwa". Po minięciu Rysianki harcerze rozłożyli się na nocleg na Hali Lipowskiej, a następnego dnia ruszyli w stronę Rajczy, gdzie miało się odbyć zakończenie rajdu. Do godziny czternastej na mecie zameldowało się 15 patroli. Na zgłodniałych czekała już tradycyjna grochówka, wkrótce też rozpoczęły się najfantastyczniejsze konkursy: na najlepszą piosenkę ułożoną na rajdzie, na najbardziej niedorzeczną rzecz zabraną z trasy, największe odciski itd... Potem, przy ognisku, harcerze wysłuchali gawędy o partyzanckich walkach w tym rejonie, a następnie wszyscy (a było ich ponad dwustu) wzięli udział we wspólnej zabawie.

Jolanta Suchy

POCIĄG WIDMO?

Miraże nad Bajkałem

ZSRR PAP). Zjawiska złudzeń optycznych, czyli tzw. miraże, występują nie tylko na Saharze i innych terenach pustynnych, lecz również nad wielkim jeziorem Bajkał. Tu pojawiają się wyłącznie podczas bardzo ciemnych nocy przedstawiają zazwyczaj widok jadącego w dali w pełnym oświetleniu pociągu, z widocznymi nawet w oknach cieniami sylwetek ludzi. Opowieści miejscowych rybaków o takich dziwnych widokach zostały naocznie sprawdzone przez naukowców, którzy potwierdzili fakty „poruszania się świecących pojazdów na linii horyzontalnej jeziora", chociaż wiadomo było, iż przeciwległe brzegi Bajkału znajdowały się w odległości ponad 50 km, a więc wielokrotnie dalej od fizycznego zasięgu ludzkiego wzroku.

Powstawanie takich niezwykłych miraży nad Bajkałem — zdaniem uczonych — uzależnione jest od specjalnych układów dolnych warstw ochładzającego się szybko powietrza i oddającej ciepło zmarszczonej tafli wody, kiedy to wzajemnemu tarciu towarzyszyć może fluorescencja. Nad zajwiskami tymi prowadzone będą dalsze badania naukowe. (bis)

Dziś przedstawiamy:

INSTYTUT BADAŃ JĄDROWYCH

Prace badawcze w dziedzinie pokojowego wykorzystania energii jądrowej zaczęto prowadzić w Polsce na większą skalę w 1954 roku. W kilka miesięcy później, 4 czerwca 1955 roku, decyzją Prezydium Rządu PRL utworzono Instytut Badań Jądrowych w Świerku pod Warszawą. Dziś jest on największą placówką naukowo-badawczą w kraju, skupiającą 8 proc. wszystkich pracowników nauki.

IBJ prowadzi badania związane m. in. z fizyką jądrową niskich, średnich i wysokich energii, fizyką i techniką reaktorów jądrowych, radiobiologią i ochroną przed promieniowaniem, radiochemią, chemią atomów gorących oraz chemią transuranowców. Produkuje się tu także izotopy promieniotwórcze na potrzeby kraju i na eksport. W zakładach doświadczalnych IBJ powstaje aparatura jądrowa. Opracowywane są metody zastosowania techniki jądrowej dla różnych technologii przemysłowych.

W Instytucie działają unikalne urządzenia badawcze w dużym stopniu skonstruowane we własnym zakresie. Do nich należą np. reaktor jądrowy EWA oraz zestawy krytyczne MARYLA, PANNA i AGATA.

Nad Jeziorem Żarnowieckim w woj. gdańskim budowana jest obecnie pierwsza elektrownia atomowa w Polsce. Większość badań związanych z tym przedsięwzięciem prowadzi się właśnie w Świerku. W ramach tego programu oddano niedawno do użytku reaktor badawczy, któremu na cześć Marii Curie-Skłodowskiej nadano imię MARIA. Jest to pierwszy, tak skomplikowany obiekt, samodzielnie wykonany przez polskich fachowców. Będą przeprowadzane w nim badania materiałów konstrukcyjnych i paliw dla przyszłych reaktorów energetycznych oraz będą produkowane izotopy promieniotwórcze o aktywności kilkakrotnie większej od wytwarzanych obecnie w reaktorze EWA.

Prace naukowo-badawcze Instytutu Badań Jądrowych przynoszą poważne korzyści gospodarce. Technika jądrowa coraz szerzej stosowana jest w wielu dziedzinach przemysłu. Przynosi ona również korzyść bezpośrednio człowiekowi, gdyż izotopy używane są w medycynie, np. do zwalczania raka.

W ciągu ostatnich pięciu lat IBJ opracował ponad 200 metod lub konkretnych urządzeń, przeznaczonych do zastosowań w praktyce i zgłosił 193 patenty. W czasopismach krajowych i zagranicznych ukazało się 1800 oryginalnych publikacji naukowych. Instytut prowadzi też ożywioną działalność z licznymi organizacjami i ośrodkami naukowymi tego typu za granicą. (ob)

NA-MI-BIA

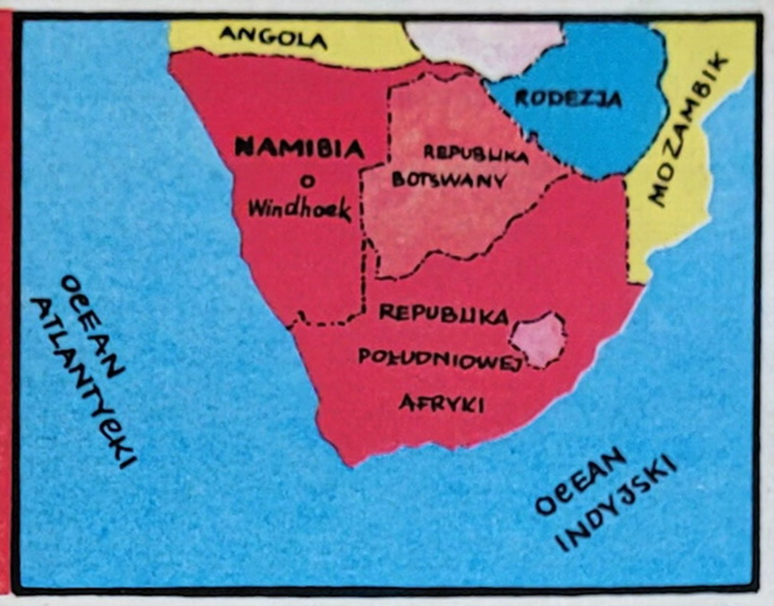

WINDHOEK, stolica Namibii, czyli dawnej Afryki Południowo-Zachodniej. Kawiarniane ogródki przy głównej ulicy tego miasta wypełniają potężnie zbudowani, jasnoskórzy mężczyźni, raczący się łykami lodowatego piwa. Ryki śmiechu, wrzaskliwe zamawianie następnej kolejki, a na ścianie zachęcający napis: „Trink, Bruderlein, trink"... (Pij, bracie pij...). Wydaje się, że w ten upalny wieczór na ulice miasta wyszedł każdy dorosły mężczyzna z 20-tysięcznej kolonii niemieckiej żyjącej tu jak na kawałku Vaterlandu, przeniesionym żywcem pod Zwrotnik Koziorożca. Gdyby nie czarni kelnerzy, można by sądzić, że to Monachium, Stuttgart czy Hamburg.

Niemcy rządzili

...Afrykę Południowo-Zachodnią zaledwie przez trzy dziesięciolecia, od roku 1884, gdy osadnicy germańscy zaczęli planowy wykup ziemi z rąk Anglików, aż do czasu, kiedy to wojska południowoafrykańskie (RPA) na rozkaz angielski położyły kres panowaniu tu Kaisera Wilhelma II. Niemców osadzono wówczas w areszcie, internowano, konfiskowano im farmy i warsztaty. Obecnie pod względem liczebności biali urodzeni w Afryce, tzw. Afrykanerzy, przewyższają ich dwukrotnie, ale niemiecka umiejętność szybkiego dostosowywania się do sytuacji pozwoliła im przetrwać ten okres. Dzisiaj niemiecki jest znów językiem oficjalnym, a funkcję burmistrza Windhoek pełni Niemiec.

Niemcy jak i inni biali z Namibii czują się już dziś jednak mniej pewnie. Rada Bezpieczeństwa ONZ zażądała bowiem, by do końca maja br. RPA wycofała stąd nielegalną administrację i zezwoliła mieszkańcom na zdecydowanie o swej przyszłości. Jeżeli RPA nie podporządkuje się, Rada Bezpieczeństwa rozpatrzy podjęcie „odpowiednich kroków". Karta ONZ przewiduje w takim wypadku użycie siły oraz sankcje gospodarcze.

Dla białych społeczności tego kraju, a zwłaszcza dla Niemców, wydaje się to rzeczą niepojętą. Przez całe lata RPA zapewniała im bezpieczeństwo, była potężnym przyjacielem zza miedzy, który bronił interesów i „trzymał w ryzach czarnych". „Pretoria wszystko załatwi" – taka zawsze była instynktowna reakcja tutejszych białych na każdy poważniejszy problem. Wprawdzie przez cały czas trzy białe społeczności — niemiecka, afrykanerska i angielska – nienawidziły się serdecznie, lecz jeszcze bardziej nienawidziły Afrykanów. Toteż perspektywa rządów czarnej większości z pewnością zespoli ich szeregi.

Wielu białych uważa, że ich społeczność jest czymś wyjątkowym, że nie można jej porównywać z innymi dawnymi kolonia mi, w których garstka Europejczyków rządziła milionami Afrykanów. A jednak wycofanie się RPA sprawi, że biali znajdą się w izolacji. W kraju tym żyje tylko 91 tysięcy białych, a więc jedna osoba na 3,5 mili kwadratowej. Nieeuropejskie grupy etniczne, Afrykanie, mają nad nimi przewagę liczebną w stosunku 7 do 1, czyli znacznie większą niż w samej RPA. Lecz próby tworzenia narodowych organizacji afrykańskich były – jak dotąd – starannie tępione.

Raj dla białych

Jednakże przez ostatnie 50 lat Afryka Południowo-Zachodnia była dla białych ludzi rajem na ziemi. Przez całe pokolenia żyli oni w stałe powiększającym się dobrobycie. Ich stopa życiowa jest tu taka sama, a może nawet wyższa, niż w RPA, a więc – jedna z wyższych w świecie. „Taki wielki kraj, a rządzi nim tak śmiesznie mała grupa ludzi – wyrwało się pewnemu niemieckiemu biznesmenowi. – W tym kraju jest tyle wszystkiego, że prawie wszystko m u s i m y eksportować. Diamenty, wołowinę, nawet ptasie łajno". I miał rację. Dochód narodowy Namibii w 90 proc. pochodzi z eksportu, w tym także z wywozu guano przeznaczonego na nawozy. Wiele tego surowca wybiera się ze specjalnej, wielkiej platformy, którą jeszcze w roku 1932 ustawił na morzu koło Zatoki Wielorybiej pewien przedsiębiorczy i potem bardzo bogaty Niemiec nazwiskiem Adolf Winter

W Namibii najlepiej jednak żyją hodowcy owiec i bydła, którzy mimo przymusowych przerw (obie wojny) jakoś utrzymali swe ogromne pastwiska. Futra owcy karakułowej (odmiana „czarny diament"), sprowadzonej do kolonii przez pewnego kupca niemieckiego w roku 1907, wysyłane są dziś na rynek londyński. To świetny interes: powien farmer zarobił na nich w 1971 r. 100 tysięcy funtów.

Skończy się jednak okres prosperity, jeśli rząd RPA wycofa się z Namibii. Upadnie wówczas cała przez niego prowadzona administracja. Urzędnicy południowoafrykańscy nie są bowiem uczuciowo związani z tym krajem, jak np. tutejsi biali, zajmujący się jednak wyłącznie własnymi interesami. Urzędnicy są na delegacji. W każdej chwili zwiną manatki i wyjadą do swoich domów w RPA. Jest to sytuacja, która **sprzyja czarnej ludności,** mogącej o wiele szybciej niż biali z Namibii przechwycić rządy, zwłaszcza, że w kraju nasila się od jakiegoś czasu walka narodowo-wyzwoleńcza pod dowództwem organizacji, zwanej SWAPO (Ludowej Partii Namibii).

Tylko z Niemcami rzecz ma się trochę inaczej

Od początku była to najbardziej zdecydowana i bezwzględna w działaniu grupa białych. Pierwsze urządzenia portowe, pierwsze linie kolejowe, rozległe farmy i ranczа budowały pod przymusem tysiące afrykańskich mężczyzn, kobiet i dzieci, których metodycznie obdzierano z ich ziemi, bydła, z prawa do życia. – „Dla narodów o poziomie kultury tubylców z Afryki Południowo-Zachodniej – stwierdzał ówczesny dokument niemieckiego ministerstwa spraw zagranicznych – utrata ich naturalnego barbarzyństwa i przekształcenie się w klasę pracowników pozostających na usługach i zależnych od białej ludności jest w istocie ich prawem do egzystencji na wyższym poziomie".

Wynikiem stosowania tej okrutnej teorii wyższości białych była śmierć 100 tys. Afrykanów z ręki Niemców. W ciągu niespełna 10 lat zniszczono trzecią część miejscowej ludności.

Bunt Afrykanów był więc rzeczą nieuchronną. Kiedy w roku 1904 zbuntowało się plemię Hererów, zostało pobite w ciągu sześciu miesięcy, lecz prawdziwy koszmar miał się dopiero dla nich zacząć. Nowo przybyły komendant niemiecki, gen. Lothar von Trothe, nie taił swych zamiarów. Między rokiem 1904 a 1911 zupełnie jawnie wymordował 80 proc. Hererów i ponad 50 proc. ludności z plemienia Nama.

Pamięć o tych „sukcesach" żyje wśród kolonii niemieckiej do tej pory. Jeśli dojdzie do opuszczenia Namibii przez urzędników RPA, Niemcy mogą być tą grupą białych, która najsilniej będzie parła do przechwycenia władzy nad Afrykanami.

★

W maju zadecyduje się przyszłość tego kraju. Pytań nasuwa się wiele. Czy RPA podporządkuje się decyzjom Rady Bezpieczeństwa w sprawie wycofania się z Namibii? Jeśli tak, to kto przejmie władzę w tym kraju? Biali, czy większość afrykańska, która ma niezaprzeczalne prawo do swego państwa? Jeśli nie, to jaka będzie dalsza przyszłość Namibii? Czas pokaże...

Na razie biali milczą i czekają na rozwój wypadków. Nic nie jest w stanie zmusić ich do rozmów z czarnymi. Wciąż kwitnie tu segregacja rasowa. Wszędzie są oddzielne ławki, budki telefoniczne, hotele tylko dla białych, także restauracje i plaże. I nadludzki wyzysk Afrykanów.

Oprac. **W. PIELECKI**

Być albo nie być

To hamletowskie pytanie od szeregu miesięcy zadaje sobie dorosła część społeczeństwa brytyjskiego, a dotyczy ono dalszego członkostwa Wielkiej Brytanii w Europejskiej Wspólnocie Gospodarczej. Odpowiedzi udzielą Anglicy 5 czerwca, w pierwszym w historii tego kraju, ogólnonarodowym referendum.

Historia należności Wielkiej Brytanii do EWG obrosła już kilkunastoletnią tradycją, bowiem pierwszy akces udziału został zgłoszony w latach sześćdziesiątych i... spotkał się z odmową. Potem jeszcze kilkakrotnie próby te były ponawiane, by dopiero w 1973 r. sprawa ta rozstrzygnęła się ostatecznie. Z dniem 1 stycznia 1973 r. Wielka Brytania została członkiem EWG.

Wejście Wielkiej Brytanii do Wspólnego Rynku spowodowane było dążnością do jedności politycznej i gospodarczej Europy Zachodniej, jak również do wzmocnienia roli Europy Zachodniej w NATO. Poza względami politycznymi, niebagatelną rolę odgrywały względy ekonomiczne. W przystąpieniu do tej organizacji zainteresowane były wielkie koncerny brytyjskie, których produkcja kierowana była przede wszystkim do krajów EWG. Ponieważ członkostwo we Wspólnym Rynku zakładało m. in. obniżenie taryf celnych dla towarów z krajów partnerskich, przystąpienie oznaczało zwiększone zyski dla monopoli.

Zadowolenie koncernów nie udzieliło się jednak tej części społeczeństwa brytyjskiego, która utrzymuje się z pracy. Z chwilą wejścia Wielka Brytania zmuszona była zmniejszyć import taniej żywności z Krajów Wspólnoty Brytyjskiej na korzyść droższych zakupów w krajach EWG. Spowodowało to naturalnie podwyżki cen na rynku wewnętrznym i niezadowolenie, zwłaszcza, że był to początek stałego procesu podwyżek żywności. Doszło nawet do demonstracji w Londynie. Nie były to jedyne kłopoty rządu Jej Królewskiej Mości. Wkład finansowy Wielkiej Brytanii do wspólnorynkowej kasy, znacznie przekraczał jej aktualne możliwości gospodarcze. Kryzys energetyczny, strajk górników, ograniczenie tygodnia pracy do trzech dni, napięcia społeczne a następnie przedterminowe wybory do parlamentu, a wszystko to niemal w przeciągu 1973 r., pierwszego roku członkostwa w EWG, zniechęciło społeczeństwo do dalszego udziału w tej organizacji.

Powtórne w 1974 r., wybory do parlamentu wygrała Partia Pracy, której jednym z haseł wyborczych było zmniejszenie wkładu finansowego do funduszu EWG, a także poddanie sprawy członkostwa pod głosowanie narodowe. W pierwszej sprawie rząd Labour Party słowa dotrzymał, ale o tym, czy te warunki są dostateczne zadecyduje społeczeństwo. Poglądy są ciągle podzielone. Według badań opinii publicznej przeprowadzonych przez Instytut Gallupa, 41 procent Anglików jest za wyjściem z EWG, 26 procent za pozostaniem. Reszta jest jeszcze niezdecydowana. Podobnie wygląda sprawa w parlamencie brytyjskim, gdzie toczą się zażarte dyskusje. Jedni są za, inni przeciwko, są także niezdecydowani, którzy chcąc uniknąć kłopotliwego pytania w ogóle nie przybyli na obrady. Różnice zdań występują w rządzie. Premier Wilson zachęca do pozostania, tłumacząc, że wystąpienie z EWG pogłębi trudności gospodarcze kraju i spowoduje jego izolację. Wielu jednak ministrów prezentuje zupełnie odmienny pogląd.

Tak więc odpowiedź na pytanie: być albo nie być w EWG, będzie dopiero znana za kilka dni.

BOŻENA ZWOLINSKA

I JA TAM BYŁAM...

SPOTKANIE Z AFRYKĄ

Na apel skierowany do Czytelników, którzy odwiedzili obce kraje — zaczynają napływać pierwsze listy. Drukując dziś wspomnienia Magdy Serwatko o pobycie w Nigrze przypominamy: — Każdy ma szansę zostać korespondentem zagranicznym „Świata Młodych" i pochwalić się swymi podróżami.

Gdy miałam 5 lat, słowo Afryka brzmiało dla mnie niczym magiczne zaklęcie — niosło powiew Wielkiej Przygody. Marząc, by kiedyś zobaczyć Czarny Ląd — odbywałam podróże palcem po mapie. Któregoś dnia jednak moje marzenia spełniły się, pojechałam do Afryki z mamą, do ojca, który przez dwa lata pracował w Nigrze jako lekarz.

Nigdy nie zapomnę chwili, kiedy z pokładu samolotu schodziłam na płytę lotniska w Niamey. Była 5 rano, wokół panowała ciemność i niesamowity upał! Na lotnisku, mimo tak wczesnej pory, oczekiwała nas dość liczna grupa Polaków zatrudnionych w Nigrze, wśród nich był mój ojciec. Już w parę godzin później, po odpoczynku, chłonęłam szeroko otwartymi oczami (i uszami też!), ten cały niezwykły świat, w którym się znalazłam.

Niamey — stolica Nigru — leży nad rzeką Niger, liczy 80 tys. mieszkańców. W centrum miasta stoją wysokie budynki, są kawiarnie, kina, sklepy, ulicami jeżdżą eleganckie samochody i olbrzymie ciężarówki — cysterny oraz landrovery. Wśród tych nowoczesnych pojazdów można spotkać Tuaregów na wielbłądach oraz przedstawicieli innych plemion — na osiołkach.

Mieszkańcy Niamey ubierają się niezwykle wesoło i barwnie. Kobiety noszą owinięte wokół bioder kolorowe tkaniny, a fryzury niektórych z nich, to niezliczone ilości cieniutkich warkoczyków, sterczących wokół głowy, jak anteny. Starsi mężczyźni ubierają się w długie, jasne koszule, bogato haftowane, zaś młodsi w koszule o bardzo jaskrawych kolorach. Wszyscy lubią ozdoby, różne naszyjniki, bransolety, kolczyki. Na peryferiach Niamey znajdują się zabudowania tradycyjnie afrykańskie; są to chaty gliniane, kształtem przypominające sześciany. Ziemia ma kolor ceglasto-czerwony; w tym czerwonawym piasku bawią się dzieci. Zarówno w centrum miasta jak i tutaj widać dużo biedy, i to takiej, o jakiej nie miałam do tej pory pojęcia...

Po tygodniu pobytu w Niamey pojechaliśmy do Maradi, miasta położonego o 750 km na wschód od stolicy Nigru. Spędziłam tam trzy miesiące i zobaczyłam typowy afrykański szpital, w którym pracował mój ojciec. Budynki szpitala — to parterowe pawilony, stojące w odległości 10 m od siebie. Każdy pawilon zajmuje inny oddział. Sale szpitalne są niewielkie, a te, w których nie ma jeszcze klimatyzacji są dość ciemne, aby promienie słoneczne jak najmniej dokuczały pacjentom. Niektórzy chorzy wolą leżeć na podłodze, nie na łóżkach, zaś na dziedzińcu stale koczują całe rodziny. Lekarze nie mają tu łatwej pracy. Do szpitala trafiają na ogół wyłącznie ludzie ciężko chorzy, często tacy, których wcześniej próbował uzdrowić miejscowy czarownik... lub przedstawiciel religii muzułmańskiej, marabut, pełniący rolę nauczyciela i doradcy, a także udzielający pierwszej pomocy w różnych schorzeniach. Chorzy przywożeni z buszu mają przy sobie „gri-gri", czyli talizmany ukryte w skórzanych woreczkach. Wszyscy pielęgniarze znają tu język francuski oraz różne narzecza miejscowych plemion — dzięki czemu są i w sprawach językowych dużą pomocą europejskim lekarzom.

Wiele czytałam i słyszałam o tragicznej suszy, jaka nawiedziła kraje Sahelu. Tysiące ludzi umierało z głodu, ginęło bydło. Co roku czekano na deszcz, modlono się o niego do Allacha, ale deszcz nie nadchodził... Miałam to szczęście, że znalazłam się w Nigrze akurat podczas pierwszej prawdziwej pory deszczowej, takiej, na jaką czekano od lat. Deszcze padały wspaniale! Lało niemal codziennie; pola zazieleniły się a płynąca obok Maradi rzeka wystąpiła z brzegów. Pod wodą znalazły się znaczne obszary, drogi zostały zerwane, co sparaliżowało transport. Było dość chłodno, gdyż temperatura wynosiła „tylko" 25 st. C. Gdy wyjeżdżaliśmy z Maradi, na lotnisku stały kałuże, a z okna samolotu miasto wyglądało jak wysepka na oceanie.

MAGDALENA SERWATKO
Zdjęcia: **Witold Serwatko**

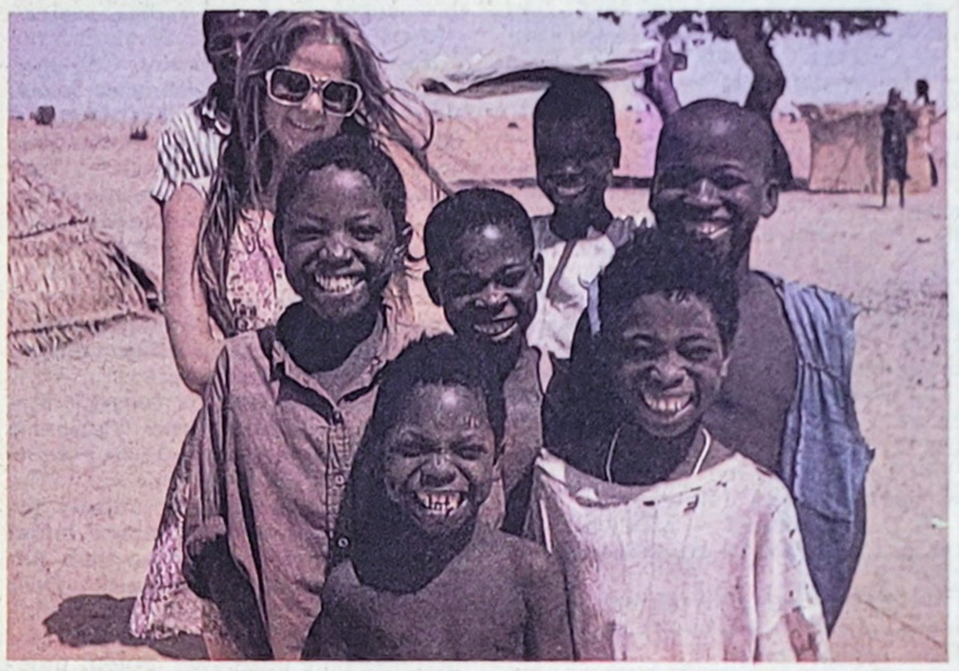

Mijają cztery lata od chwili objęcia patronatu ZHP nad budową Centrum Zdrowia Dziecka. W związku z tym „Świat Młodych" zwrócił się do PRZEWODNICZĄCEGO KOMITETU BUDOWY CZD, MIN. JANUSZA WIECZORKA z prośbą o ocenę efektów tej akcji:

— Dzisiaj jeszcze mam przed oczami tysiące harcerzy, harcerskie poczty sztandarowe z całego kraju i uroczyste, kolorowe dekoracje. Było to 3 czerwca, dwa lata temu, kiedy w Międzylesiu k/Warszawy został wmurowany kamień węgielny pod Centrum Zdrowia Dziecka. Dziś, wysiłkiem całego społeczeństwa i Związku Harcerstwa Polskiego, rosną mury Pomnika-Szpitala.

A zaczęło się to w 1968 roku, podczas IV Alertu ZHP, przebiegającego pod hasłem „Harcerstwo — Bohaterskim Dzieciom Polskim". Poznaliście wtedy bliżej tragiczne losy dzieci polskich podczas wojny i okupacji. Trzy lata później Łódzka Chorągiew ZHP otrzymała imię Bohaterskich Dzieci Polskich. Pięknym gestem jest to, że znając tamte tragiczne lata wojny tylko z podręczników i historii podjęliście współudział w budowie Centrum, realizując hasło „dzieci — dzieciom".

PATRONAT PRZYNOSI EFEKTY! MINISTER JANUSZ WIECZOREK DZIĘKUJE HARCERZOM

POMNIK bliski każdemu z nas

Nieprzypadkowy jest więc fakt, że organizacja Wasza objęła patronat w Dniu Dziecka w 1971 roku. Kilkanaście dni później zuchy, harcerze i instruktorzy Chorągwi Lubelskiej wystosowali apel do wszystkich członków ZHP, wzywający do wypracowania środków na budowę Centrum. Apel spotkał się z masowym odzewem harcerzy. Jako pierwsi odpowiedzieli harcerze z Brzeźna, przekazując na konto CZD 2500 zł. Za ich przykładem poszły inne drużyny, szkoły, klasy, samorządy uczniowskie. Komitet Budowy skrupulatnie prowadzi listę ofiarodawców, w której bardzo często można spotkać wpłaty drużyn i szczepów harcerskich, nazwiska dzieci i instruktorów harcerskich. Największym przedsięwzięciem harcerskim była przeprowadzana w 1972 r. akcja „znaczek", w czasie której rozprowadziliście w całym kraju 2 mln znaczków CZD, a uzyskane ze sprzedaży ponad 20 mln zł przekazaliście na fundusz budowy. Ubiegłoroczna „operacja" — „cenny surowiec dla kraju" powiększyła konto CZD o 5,5 mln zł.

Podkreślić muszę fakt, że przekazywane przez Was pieniądze zarobione są Waszymi rękami przy wykopkach ziemniaków, przy budowie dróg, przez zbieranie runa leśnego itp. Dlatego szczerze wzruszające są te stosunkowo małe wpłaty, ale jakże duże w stosunku do Waszych możliwości. Jakże ogromne, gdy się je podsumuje. Związek Harcerstwa Polskiego wypracował i przekazał na budowę Pomnika-Szpitala ponad 30 mln złotych.

Harcerze podejmują również szereg akcji propagandowych: rozprowadzili np. zakładki do książek informujące o budowie, rozwiesili w szkołach kolorowe plakaty, przygotowali szereg imprez artystycznych. Pomogli też w rozprowadzaniu losów na obie loterie fantowe, z których dochód przeznaczony jest na CZD.

Drużyny harcerskie pracują również same na budowie. Dwa lata temu, pierwsza drużyna harcerska z Hufca Warszawa Praga-Południe pomagała w przygotowaniu terenu pod budowę. W czasie ostatnich ferii wiosennych pracowali na budowie harcerze z Radziejowa. Dziś pracują harcerze ze szkół budowlanych w Ochotniczym Hufcu Pracy. Dokładają więc i własnymi rękami swoją cegiełkę do powstania tego pomnika życia i pamięci. Za to należą się Wam słowa uznania i podziękowania. Za Wasz wysiłek, młodzieńczy zapał i trud, za pełną poświęcenia pracę dla budującego się Centrum. Za to, że dobrze rozumiecie swoje harcerskie zadania.

Notowała: **MARZENA WIERZCHOLSKA**

RADA DRUŻYNY W JEDNEJ RODZINIE

WSZYSCY, o których będzie tu mowa — Halina, Grażyna, Teresa, Gośka, Elżbieta, Bogdan i Kasia, a także Mama i Ojciec — są członkami jednej rodziny. Państwo Hanulowie z Raby Niżnej i ich siedmioro dzieci zajmują niewielkie mieszkanie tuż przy szkole — tej samej, w której córki uczą się, a rodzice pracują.

Przerwa

Już na pierwszej przerwie koło Gośki robi się tłoczno.

— Ja poproszę długopis, tylko do jutra!

— A mnie potrzebny cyrkiel na dwie godziny!

— Gośka, pospiesz się, daj ekierkę i linię, bo muszę jeszcze zrobić wykres!

Gośka zwija się jak w ukropie: podsuwa kwity, wydaje żądane przedmioty, pobiera opłaty — 10 gr, 50 gr, a nawet — gdy w grę wchodzi piłka czy chlebak — całe 2 zł. Gdy nie daje sobie rady, Teresa — przewodnicząca Samorządu Szkolnego i prezes Spółdzielni Uczniowskiej — przysyła jej pomocnicę. Ale i we dwie często nie mogą nadążać — chętnych do korzystania z wypożyczalni przyborów szkolnych jest zawsze cała masa! Kolejki ustawiają się też przed sklepikiem; gdzie można i wypić herbatę, i zjeść coś słodkiego, a nawet solidną bułę z serem czy wędliną też się dostanie.

Zebranie zarządu

Wszystkich tamtego dnia zdziwiło, że spokojna zazwyczaj Teresa do klasy nie weszła lecz wpadła, a drzwi za nią trzasnęły aż huknęło. Bez zwykłych pogaduszek, oficjalnie rozpoczęła zebranie.

Najpierw SKO. Z tym poszło szybko, wszystko grało. Dyżurne siedziały na przerwach jak ustalono, wpłat było znacznie więcej niż wypłat i coraz wyraźniej rysowała się szansa na niezłe miejsce w konkursie systematycznego oszczędzania.

— Trochę gorzej było już jednak z akcją dożywiania.

— Jak to jest, że trzeci dzień jemy bułki z serem? — denerwowała się Teresa. — Jeśli w naszym sklepie nic innego nie ma, trzeba było pojechać do Mszany!

Sklepik szkolny jest oczkiem w głowie całej Spółdzielni. Przed jego otwarciem trzynaście osób z różnych klas ukończyło prawdziwy kurs buchalteryjny. Prowadzony najfachowiej w świecie przez zmieniające się co czas jakiś: kierowniczkę, ekspedientkę, skarbnika i dostawcę, umila słodyczami szkolne życie i jest źródłem pokaźnych dochodów. Na ogół nie sprawiał żadnych kłopotów, lecz tym razem to właśnie on stał się przyczyną irytacji Teresy. Przeprowadzona bowiem niedawno kontrola ujawniła manko. Niezbyt wielkie, zaledwie kilkadziesiąt groszy, ale zawsze wstyd... A poza tym Teresa spędziła dwa i pół dnia na sumowaniu i odejmowaniu długich kolumn cyfr zanim stwierdziła, że brak pochodzi najprawdopodobniej z niedokładnie wpisanej ceny...

— No, nie róbcie takich min, stało się, to się stało — „pani prezes" przerwała nieprzyjemną ciszę. — Za to teraz nareszcie wiadomo, jaki mamy dochód i trzeba się zastanowić, co z nim zrobić. Jest tego równo 1100 zł.

To była dobra nowina. Pozwalała powrócić do projektu założenia w szkole sekcji fotograficznej z własną ciemnią. Dotychczas zdjęcia robił tylko Ojciec — nauczyciel fizyki i opiekun Spółdzielni z ramienia dyrekcji w jednej osobie. Wszystkie harcerskie kroniki zależały od sprawności jego „Smieny". Teraz, gdyby każdy mógł bez trudności wypożyczyć aparat, a potem z fachową pomocą wywołać film — wszystko by się zmieniło. Oczywiście 1100 zł na całe wyposażenie nie wystarczy — ale na początek i tyle jest dobre.

Jak zawsze — nie znaczy nudno

Halina, najstarsza z rodzeństwa zebrała wokół siebie pozostałych.

— Słuchajcie, trzeba zadecydować, co z wakacjami. Początek tuż, tuż, a my nie mamy nic nagrane.

— A co, masz może jakieś pomysły?

— Niestety nie! Wiesz dobrze, że przede wszystkim to mam maturę, a potem egzaminy wstępne. Tak że możecie na mnie nie liczyć prawie do końca lipca. Ale postanowić coś trzeba.

Dotąd zawsze było tak, że na wakacjach dowodziła całą bandą właśnie Halina. Teraz pałeczkę musiała przejąć druga z kolei siostra, 17-letnia Grażyna. Pod jej przewodnictwem ustalono, kto i kiedy pojedzie na harcerski obóz razem z Ojcem-komendantem, kto pomoże

DALSZY CIĄG NA STR. 7

Ludzie codziennej przygody

NAJLEPIEJ CZUJĘ SIĘ NA BUDOWIE...

Inżynier **Zbigniew Turkiewicz** z Mrągowa był już raz oddelegowany na tę budowę. Jeździł wówczas do pracy przez dwa miesiące z robotnikami. Każdego ranka urządzał odprawę w autobusie, żeby nie marnować dnia. Wieczorem — podsumowywał dzień. Nadgonili wówczas poważnie harmonogram prac.

Budowa fermy w Bożem — to ciężka budowa. Dobijają człowieka deszcze i rozmiękła glina. Teren wokół niskich długich budynków obór przypomina obecnie szańce. Na razie spływa do nich gęsta, błotnista maź. W tym błocie muszą pracować ludzie. Inżynier Turkiewicz uważa, że ci, którzy budują Boże — to najlepsi z najlepszych. Uważa również, że bardzo ważna w takim zespole, narażonym na trudy i niewygody, jest atmosfera. Przywożą na przykład cement z Mrągowa. Na plecach go nosić od szosy? Daleko i ciężko.

— Który dowiezie cement do tamtej betoniarki za oborą ma u mnie pięć złotych — rzuca żartobliwą propozycję kierowcom.

Wkrótce odnajduje go jeden z nich.

— Dyrektorze, moje pięć złotych poproszę...

— Jak tam dojechałeś?

— To tajemnica...

Jeden zobaczy to błoto i klnie, drugi natomiast obserwuje ślady poprzedników i powoli jedzie. Jedzie nierzadko o zakład, że właśnie się uda.

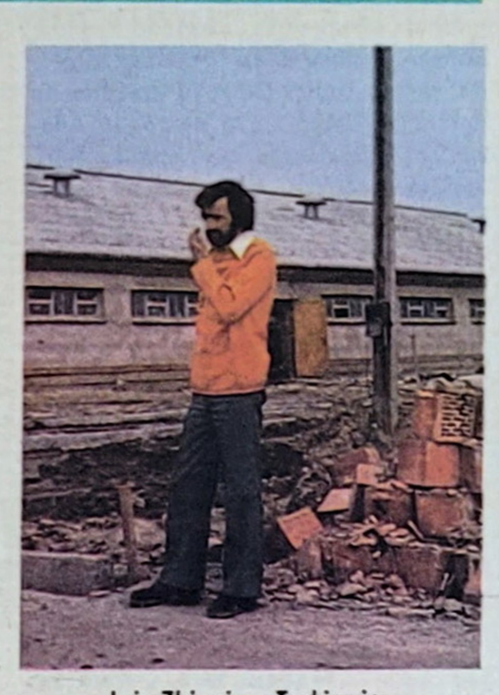

Inż. Zbigniew Turkiewicz

Bo nie powiem nic miłego...

W pokoiku zaadaptowanym na biuro — odprawa brygadzistów. Zaczynają się narzekania. Inżynier wie, że w większości wypadków są to narzekania słuszne. Dowieziono cement niskiej jakości, a potrzebny portlandzki. Od kilku dni brak lepiku i nie można tynkować ścian, bo dach przecieka. Z kolei innej brygadzie nie dostarczono podsypki, czyli żwiru pod beton. Tymczasem termin oddania budowy zbliża się nieuchronnie. Jeśli fermę odda się do końca czerwca — pracownicy otrzymają wysokie premie. Za każdy dzień opóźnienia przedsiębiorstwo płacić będzie wysokie kary. Stąd inżynier Turkiewicz znowu w Bożem...

— Proponuję pana brygadę, panie Janowski, od jutra na zbiorniki.

— Dlaczego znowu moją? — broni się brygadzista. — Tam trzeba robić w błocie po kolana. Ja już się przy zbiornikach reumatyzmu nabawiłem.

— Panie Janowski, bo nie powiem panu nic miłego... Bierzemy się za te zbiorniki? Dołączę od jutra do waszej brygady.

— Jeszcze tego brakowało, żeby dyrektor łopatą machał! Ale dlaczego zawsze my na najgorsze? — brygadzista nie ustępuje.

— Dlatego, że wasza brygada jest dobra i solidna. Zrobicie to dobrze i w terminie.

— Teraz musi być pompa — mówi już łagodniej Janowski.

— Damy pompę! — zapewnia dyrektor. — No to co, dogadaliśmy się?

— Tylko panie dyrektorze, co z moim mieszkaniem? — przypomina sobie brygadzista.

— No widzi pan, chciał pan jednak coś miłego usłyszeć. Budynek mieszkalny już stoi. Mamy pana na uwadze...

Jestem budowlańcem

— Jestem budowlańcem, nie dyrektorem i najlepiej się czuję na budowie, wśród ludzi — stwierdza inżynier Turkiewicz — nie wyobrażam sobie cichej, spokojnej pracy za biurkiem. A przeżyłem kiedyś taki koszmarny dzień — wspomina. Rano pojechałem na budowę, wszystko załatwiłem. Wróciłem do Mrągowa — załatwiłem. I... cisza. Południe, do końca pracy daleko, czas wlecze się, a żaden telefon nie dzwoni. Co chwila otwieram drzwi do sekretariatu. Nikt nie ma do mnie żadnej sprawy. Miejsca sobie nie mogę znaleźć. Jechać na budowę bez potrzeby — tylko się przeszkadza. Siedzieć na miejscu i czekać — też źle...

Na szczęście, takie ciche, złe dni zdarzają się rzadko. Typowy dzień pracy u nas to istny „dom wariatów". Bywa, że dzwonią jednocześnie trzy telefony, a w sekretariacie gromada ludzi czeka na rozmowę. U nas nie można być w pracy, u nas się pracuje.

Bardzo ważne, to zdobyć zaufanie pracowników i kierowników budów. A do tego ludzi trzeba znać. Sztuka polega na tym, że ja muszę wiedzieć lepiej od kierowników, co się u nich dzieje, ale nie mogę im tego dać odczuć.

Utarła się opinia, że do „budowlanek" idą najgorsi. Tacy, których nie chcą inne szkoły. Tymczasem ci, którzy je kończą, to najbardziej ofiarni pracownicy, jakich znam.

Wszystko jest ważne

Budowa fermy w Bożem zatrudnia osiemdziesięciu ludzi. Stanowi to jedną trzecią załogi całego PBROL w Mrągowie. W skali krajowej — kropla w morzu. Cóż znaczy taka ferma na osiemset krów, chociażby najbardziej komfortowa, w porównaniu z budową Portu Północnego, czy Huty „Katowice". Tam jest wielki rozmach, tam nie trzeba użerać się z dostawcą o tonę lepiku, tam nie ma problemu dwóch betoniarek, czy dwudziestu łopat...

Ba, takie PBROL nie należy w ogóle do resortu budowlanego. Szefuje mu Zjednoczenie Budownictwa Rolniczego w Olsztynie.

— Budować fermy, fermy, fermy... A dlaczego nie Rafinerię Gdańską, dlaczego nie Port Północny?!

Przez cały niemal rok ubiegły inżynier Zbigniew Turkiewicz łamał się wewnętrznie. Pewnego dnia pojechał do Huty „Katowice". Dość miał chlewni i obór, braku lepiku, zdezelowanych betoniarek. Załatwił przeniesienie służbowe. Potem pojechał na kilka dni w góry. Kiedy wrócił do Mrągowa, okazało się, że tu kilka spraw „kuleje". Wziął się do roboty, wyjazd odkładając na dni kilka. Nim się w tej pracy opamiętał, zapomniał, że miał stąd odejść. Doszedł wreszcie do wniosku, że bez tych niepozornych ferm, nie byłoby Huty „Katowice", ani wielkich portów, że nie wiadomo, który budowlaniec ważniejszy, czy ten od Petrochemii, czy ten grzęznący w glinie mazurskich Przedsiębiorstw Rolnych, że wszystko się tu zazębia i malutka w skali krajowej budowa, oddana na czas, pozwala podejmować inwestycje wielkie.

★

Nim materiał został oddany do druku, dowiedziałam się, że inżynier Zbigniew Turkiewicz, zastępca dyrektora do spraw technicznych w PBROL w Mrągowie, zakwalifikowany został na wyjazd do Orenburga, gdzie rozpoczyna się wielka budowa rurociągu gazowego.

WIESŁAWA MROCZEK
Zdjęcia: **A. Kamiński**

- 50 nagród czeka na zwycięzców
- Najlepsi przyjadą do Warszawy
- Wszyscy uczestnicy otrzymują upominki

„Bezpiecznie w ruchu drogowym"

Konkurs Polskiego Związku Motorowego oraz Ministerstwa Oświaty i Wychowania.

W konkursie może brać udział każdy, przesyłając prace indywidualnie, lub zbiorowo — zespoły uczniowskie i zastępy harcerskie.

Przysyłajcie więc opisy, rysunki, fotografie, prace plastyczne obrazujące różne formy Waszego działania, zwiększające bezpieczeństwo ruchu drogowego.

W czasie wycieczek, biwaków, zbiórek harcerskich, zabaw na podwórku, obozów i kolonii:

Wykonujcie:

— plakaty i afisze propagandowe o bezpieczeństwie na drogach,

— organizujcie konkursy i imprezy,

— układajcie piosenki, wiersze i hasła,

— podejmujcie prace społeczne,

— organizujcie gry i zabawy dla swoich rówieśników.

Wszystkie pomysły spiszcie lub sfotografujcie lub narysujcie i prześlijcie do dnia 10 października 1975 r. na adres: Zarząd Główny Związku Motorowego Komisja Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego 02-518 Warszawa, ul. Kazimierzowska 66.

Na kopercie zaznaczcie „KONKURS", podając imię i nazwisko, wiek autora, w wypadku pracy zbiorowej — nazwę zespołu autorskiego oraz adres wraz z kodem pocztowym.

NIE PRZEGAP FAJNEJ I POŻYTECZNEJ ZABAWY W CZASIE WAKACJI!

ŚCIEŻKAMI KAMPINOSU

Pięcioma trasami prowadzącymi przez miejsca, gdzie walczyli żołnierze polscy we wrześniu 1939 r., gdzie staczali potyczki partyzanci, gdzie organizowano akcje pomocy jeńcom radzieckim, wędrowali w jedną z majowych niedziel uczestnicy VIII Marszu Patrolowego Szlakami Walk Partyzanckich w Puszczy Kampinoskiej.

W czasie uroczystego rozpoczęcia Marszu Patrolowego przedstawiciele młodzieży oraz kół kombatantów z zakładów pracy złożyli na ręce min. Janusza Wieczorka meldunki o opiece nad miejscami pamięci narodowej i wpłatach na Centrum Zdrowia Dziecka. (ek)

Zdjęcia: M. Szymański

REPORTER ŚWIATA MŁODYCH

RADOŚCI I SMUTKI

Stanisław Koszutko, rolnik z dziada pradziada. Ma 60 lat i sam pracuje na 5-hektarowym gospodarstwie.

— Co pan może powiedzieć o tym człowieku? — pytam sąsiada pana Koszutki, również rolnika.

— No cóż, stary już, ale dobrze się trzyma. Dzieci wykształcił, poszły do miasta, a on został sam. Ludzie ze wsi pomogą, kółko rolnicze, a i dzieci do ojca nieraz zajrzą. Jakoś mu idzie, ale długo nie wytrzyma. Roboty dużo, a starość nie radość. No i życie też się z nim nie cackało.

Postanowiłam odwiedzić pana Koszutkę. Dom i stodoła murowane, pokryte eternitem, tylko obora stara, z gliny, chyli się ku ziemi. Obejście czysto wysprzątane, w oknach świeże firanki. Zdziwiło mnie to trochę. Jest przecież sam. Jak daje wszystkiemu radę?

Przed gankiem spotykam córkę gospodarza, panią Irenę. Jest na urlopie. Idzie do sklepu, obładowana siatkami. Pytam ją o ojca.

— Wiem, że jest mu ciężko, ale cóż na to poradzę — mówi pani Stebnicka. — Mam pracę w mieście, nie mogę wrócić do ojca. Pomagam jednak, jak mogę. Chcieliśmy z rodzeństwem, żeby gospodarstwo zdał za rentę, ale on uparł się. Chce tu pracować do końca życia. Bo właśnie tu, na tym kawałku ziemi, przeżył najwięcej radości i... smutków.

Wypowiedź trochę zagadkowa. Może więc sam pan Stanisław więcej opowie:

— Urodziłem się tu i wychowałem. Jako smarkacz pasłem na tej łące krowy i strugałem fujarki. Byłem jedynakiem. Przed śmiercią ojciec zapisał mi gospodarstwo. Wiodło mi się nie najgorzej. Kochałem swoją pracę. Wszyscy szanowali mnie i często przychodzili po radę. Potem przyszła wojna. Dzieci były małe. Wywieźli mnie na roboty do Rzeszy. Pracowałem u niemieckiego gospodarza. Kramer się nazywał. Dobry był chłop z tego Niemca. Pomógł mi potem w powrocie do kraju.

Cały czas będąc na wygnaniu, myślałem o żonie i dzieciach. Było ich troje, na dodatek ledwo od ziemi odrosły. Najstarszy, Romek, miał 4 lata. Gdy wróciłem, zastałem ich jednak zdrowych i całych.

Zaraz po wojnie zabrałem się do roboty. Zacząłem budować nowy dom. Było mi ciężko, bo dzieci uczyły się, ja budowałem, a gospodarstwo niewielkie. Jakoś jednak dawałem sobie radę. Dom skończyłem, zacząłem zwozić materiał na stodołę. Niedługo jednak trwała moja radość. Pewnej sierpniowej nocy piorun uderzył w starą stodołę. Dach ze słomy zapalił się szybko. Pożar przeniósł się na nowy dom, który był pokryty papą. Na oborze spłonął tylko dach, ściany były gliniane, nowy dom spłonął cały. Tyle wysiłku, wyrzeczeń. Wszystko na nic! Zostaliśmy bez dachu nad głową.

Nie załamałem się jednak. Sąsiedzi pomogli. Z czasem pobudowałem dom i oborę. Dzieci w tym czasie uczyły się. Były zdolne. „Niech się uczą — mówiłem. — Nie będę ich zatrzymywał". Gdy skończyły szkołę, odeszły. Córka jest inżynierem budowlanym, a synowie pracują w płockim kombinacie.

Zostałem sam. Żona umarła 8 lat temu. Ale nie poddam się. Tyle w życiu przeżyłem, tyle wycierpiałem, że wytrwam do końca. Ludzie pomogą, kółko też. A i dzieci są dobre. Przyjeżdżają na żniwa i wykopki — pomagają. Córka i synowa robią pranie, mieszkanie sprzątają. I jakoś mi idzie.

Rzeczywiście, pan Koszutko może być zadowolony, bo od innych starych rolników we wsi dzieci odwróciły się na dobre. Szybko zapomniały, kto przeżywał dla nich swoje radości i smutki.

HANNA MARUSZEWSKA
Zagoty

Z polskich tenisistów tylko Wojciech Fibak potrafi nawiązać równorzędną walkę ze światową czołówką.

Szwed Bjoern Borg zaczął uprawiać tenis mając zaledwie 5 lat. Dziś udaje się go pokonać tylko nielicznym.

W POGONI ZA ŚWIATOWĄ „RAKIETĄ"

CZYM dla Szwecji jest **Bjoern Borg,** dla ZSRR — **Aleksander Metreweli,** dla USA — **Jimmy Connors,** dla Rumunii — **Ilie Nastase,** tym dla Polski jest... **Wojciech Fibak.** Nasz tenisista efektowną i skuteczną grą na kortach całego świata zdobył sobie międzynarodową sławę i uznanie. Mamy więc się z czego cieszyć, tym bardziej, że Fibaka stać jeszcze na dalsze i to duże postępy. Może jednak martwić fakt, że oprócz niego nie ma w kraju ani jednego zawodnika mogącego z powodzeniem rywalizować ze światową czołówką. Dowodem tego był chociażby ostatni mecz ze Szwecją; pierwszy tegoroczny występ biało-czerwonych w Pucharze Davisa zakończył się ich porażką 1:4.

Przegrana nie była dla fachowców zaskoczeniem. Skandynawowie od lat mieli tenisistów wysokiej klasy. **Bergelin, Davidsson, Schmit, Lundqvist** — to nazwiska na trwałe zapisane w historii tego sportu. Fenomenalny obecnie Borg umiejętnościami przewyższa jeszcze swoich poprzedników. Ale sam Borg w meczu z Polską nie mógł wygrać; jego partnerzy stanęli do pojedynków polsko-szwedzkich również jako faworyci. Ani **Henryk Drzymalski,** ani **Jacek Niedźwiedzki** nie potrafili dotrzymać im kroku.

SZCZUPŁOŚĆ KADRY REPREZENTACYJNEJ, a nawet jej brak, słabość bezpośredniego zaplecza są starymi bolączkami naszego tenisa. Czy istniały szanse ich wyleczenia? Czy były okazje szerszego spopularyzowania tenisa, żyjącego w Polsce w cieniu, jakby na uboczu innych dziedzin sportu? Chyba tak.

Od lat wiadomo, że do rozwoju szczególnie tej dyscypliny potrzebne są częste imprezy w dobrej obsadzie, pokazanie najmłodszym kibicom gry na wysokim poziomie, a przy tym wyjaśnienie jej wcale nieprostych zasad. Szansa zademonstrowania tenisa w Polsce zaistniała kilkanaście miesięcy temu, kiedy to we Wrocławiu organizowaliśmy mistrzostwa Europy dla amatorów. Impreza nie była może najwyższej rangi, ale — co najważniejsze — gwarantowała nam udział kilku doskonałych zawodników. Zjechały więc do Wrocławia ekipy dziennikarzy, telewizja, aby... relacjonować sukcesy „rakiet" ZSRR, Czechosłowacji i Węgier. Polacy odpadli z turnieju już w pierwszych dniach. Przyczyną ich porażek był absolutny brak koncentracji i przygotowania się do zawodów.

PODOBNA HISTORIA, wyłączając Fibaka, powtórzyła się przed miesiącem. Nasi reprezentanci przystąpili do meczu ze Szwecją dalecy od swoich szczytowych możliwości. Gdzie podziała się dawna konsekwentna i planowa taktyka Drzymalskiego, co stało się z kapitalnymi serwami Niedźwiedzkiego? Przecież ten ostatni był jeszcze nie tak dawno juniorem rokującym większe nadzieje aniżeli Fibak... Dlaczego nie powołano do kadry narodowej zawodników będących w lepszej formie? Odpowiedź jest krótka: takich w Polsce nie było.

I jeszcze jedno: w dalszym ciągu posiadamy mało kortów. Mają więc do nich dostęp tylko nieliczni szczęśliwcy. Gdzie więc mogą grać i trenować przyszli mistrzowie singla i debla, potencjalni następcy Fibaka? I o nich też warto pomyśleć.

DO ZLIKWIDOWANIA BRAKÓW kondycyjnych i technicznych zawodników prowadzi masowość i starty w licznych międzynarodowych turniejach. Przykład Fibaka jest tego najdoskonalszym dowodem. Ten 23-letni sportowiec wtargnął do światowej czołówki zaledwie w ciągu kilku ostatnich miesięcy. Ale nikt nie zliczy jego zagranicznych startów. Barcelona, Nowy Jork, Paryż, Walencja, Monachium... niemal ciągła gonitwa za turniejami, zacięte, choć nie zawsze zwycięskie walki z najlepszymi „rakietami" wszystkich kontynentów, musiały w końcu dać rezultaty.

— Miesiące spędzone wśród ludzi traktujących tenis rygorystycznie przyniosły mi najwięcej pożytku — powiedział Fibak. — **W bezpośrednich bojach nauczyłem się walczyć o każdą piłkę, a podpatrywanie akcji światowej czołówki i trening w każdej wolnej chwili są gwarancją moich sukcesów...**

Podobne możliwości „podróżowania" należy stworzyć nie tylko pozostałym naszym kadrowiczom, ale także i szerokim ich rezerwom. Jedyna „gwiazda", chociażby świeciła najmocniej, nie rozjaśni aktualnej sytuacji.

ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI
Zdjęcia: **M. Szymkowski**

V MIĘDZYNARODOWY WAKACYJNY TURNIEJ PIŁKARSKI O PUCHAR „Świata Młodych"

TRENER naszej narodowej „jedenastki", pan **Kazimierz Górski,** nie zawiedzie i tym razem... Ale po kolei. Otóż już dziś, jutro, przystąpicie do organizowania drużyny, która będzie uczestniczyć w turnieju „Świata Młodych". Wśród chętnych do zespołu znajdą się zapewne piłkarze niskiego i wysokiego wzrostu, bardzo szybcy i wolni, przebojowcy i tacy co nie lubią wdawać się w bezpośrednią walkę. Wylania się więc problem jak ustawić ich na boisku, jak trenować obrońców, napastników i bramkarza, jaki ułożyć plan taktyczny gry... Skoro sami nie potraficie odpowiedzieć na te i podobne pytania — napiszcie do nas. Przy pomocy trenera Kazimierza Górskiego pokonamy wspólnie wszystkie kłopoty i... każdego przeciwnika. Czekamy więc na listy. Na kopercie dopiszcie hasło: „Turniej piłkarski". Chcielibyśmy też obejrzeć w akcji wasze drużyny. Czekamy na zaproszenia. Pomyślnego startu! **(zp)**

REGULAMIN TURNIEJU

1. W turnieju może wziąć udział każda drużyna składająca się z chłopców, którzy w czasie wakacji przebywają w jednej miejscowości. Mogą to być grupy Nieobozowej Akcji Letniej lub zespoły niezorganizowane. W turnieju mogą uczestniczyć tylko zawodnicy urodzeni w 1960 roku i młodsi.

2. Turniej trwa od 9 czerwca do 31 lipca br. włącznie. Każda drużyna rozgrywa spotkania co najmniej trzema innymi zespołami, niekoniecznie biorącymi udział w naszej imprezie. Zespoły przeciwne mogą być z tej samej miejscowości, lub innej.

3. W jednym dniu zespół może rozegrać najwyżej dwa spotkania, które nie mogą trwać dłużej niż 2x35 min.

4. W turnieju obowiązują następujące zasady:

a) zespół może liczyć 7 do 11 zawodników + rezerwy;

b) można grać na boiskach małych, np. od piłki ręcznej;

c) mecze rozgrywać można piłką siatkową lub nożną;

d) poszczególnych spotkań nie musi prowadzić sędzia;

e) o awansie do finałów krajowych nie decydują wyniki poszczególnych spotkań.

5. Mecze muszą odbywać się wg regulaminu PZPN.

6. Drużyna, która rozgrywała mecze w składzie mniejszym niż 11 graczy, a zakwalifikowana zostanie do rozgrywek finałowych, musi uzupełnić swój skład o brakującą ilość zawodników.

7. Aby drużyna mogła ubiegać się o prawo startu w finale krajowym, musi spełnić następujące warunki:

a) do dnia 31 lipca (włącznie) rozegrać jak największą ilość spotkań eliminacyjnych **(patrz pkt. 3 regulaminu);**

b) posiadać zapis każdego spotkania w wykazie sporządzonym wg zamieszczonego wzoru, z potwierdzeniem (w formie pieczątki szkoły, gminy, sołtysa, MO, Komitetu Blokowego, lub innej instytucji i podpisu osoby dorosłej), że mecz rozegrano zgodnie z regulaminem;

c) najpóźniej do dnia 5 sierpnia br. (decyduje data stempla pocztowego) wysłać wykaz na adres: **„Świat Młodych", ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa z dopiskiem na kopercie „Turniej piłkarski".**

8. W rozgrywkach finałowych na szczeblu krajowym, które odbędą się 16—17 sierpnia br. w **Rytlu, k. Chojnic,** wezmą udział cztery zespoły, wyłonione drogą losowania, bez względu na wyniki meczów eliminacyjnych. Członkowie tych zespołów muszą posiadać aktualne zaświadczenia lekarskie zezwalające na udział w zawodach piłkarskich.

9. Redakcja „Świata Młodych" nie wyznacza zespołom przeciwników ani też nie wysyła żadnego sprzętu sportowego.

10. Zwycięski zespół rozgrywek finałowych otrzyma puchar „Świata Młodych" i uzyska prawo reprezentowania Polski w spotkaniach międzynarodowych. Wszystkie zespoły finału wyróżnione zostaną dyplomami i otrzymają nagrody w postaci sprzętu sportowego.

11. Koszty związane z przejazdami drużyn na finał krajowy, i ich pobyt w Rytlu kryje redakcja. To samo dotyczy finału międzynarodowego.

12. Mecze międzynarodowe odbędą się we wrześniu br.

Zdjęcie: **K. Adamowski**

WYKAZ ROZEGRANYCH SPOTKAŃ

drużyny . . . . . .

(nazwa, miejscowość, powiat)

Data spotkania	Nazwa drużyny przeciwnej	Wynik	Stwierdzenie odbytego spotkania Podpis osoby dorosłej i pieczątka

Nasz zespół rozegrał w okresie od . . . . . do . . . . . ogółem . . . ,

spotkań, z tego wygraliśmy . . . . . spotkań.

Podpis kapitana zespołu

. . . . . .

REDAKCYJNA POCZTA

Taaaka wychowawczyni!

Pani Maria Bednarska jest najlepszą wychowawczynią i drużynową. Wszystkie konflikty potrafi sprawiedliwie rozwiązać, dla wszystkich ma czas, wszystkim chce i umie pomóc. Ponieważ kończymy naukę w szkole podstawowej pragniemy jej za te osiem lat pracy bardzo podziękować.

Klasa VIII
w Szwarszowicach

Wyjątki

W naszej klasie nauczyciele nie traktują jednakowo wszystkich uczniów. A oto przykład: jeżeli spóźni się lepszy uczeń, pani każe mu iść na miejsce; jeżeli to zdarzy się gorszemu uczniowi — najczęściej musi opuścić klasę i stać pod drzwiami. Pan od geografii nie pytał mnie ani razu w ciągu całego roku. Na lekcjach głos zabiera tylko jedna osoba — ciągle ta sama. Mamy w szkole skrzynkę pytań i wniosków. Pytaliśmy kilka razy, dlaczego niektórzy uczniowie są inaczej traktowani? Odpowiedzi nie uzyskaliśmy.

Marzena
z Dąbrowy Tarnowskiej

Nikomu nie wolno dokuczać!

Chłopcy z naszej klasy ciągle dokuczają swojemu koledze. Często go biją. On jeden nie może obronić się przed całą grupą. Próbowałyśmy rozmawiać z chłopakami i tłumaczyć, że tak nie wolno im postępować. Nic to jednak nie pomogło, a chłopcy teraz śmieją się z nas. Nie chcemy rozmawiać z wychowawczynią. Boimy się, że wszyscy uznają nas za „skarżypyty". Nie wiemy co dalej mamy robić?

Dziewczyny z kl. VIII

Zuchowe tradycje

Jestem uczennicą VII klasy i od roku pełnię funkcję drużynowej zuchów z IV klasy. Niedawno zdobyliśmy pierwsze miejsce w konkursie na najładniejszy totem. Martwi mnie jednak fakt, że nasza drużyna nie ma jeszcze swoich tradycji. Ten rok szkolny już się kończy i zuchy zostaną harcerzami, a ja dostanę nową drużynę. Proszę zatem drużynowych i przybocznych drużyn zuchowych, aby nawiązali ze mną korespondencję. Chciałabym wiedzieć jakie tradycje obowiązują u nich.

Barbara Rybak,
ul. Giżycka 9, 05-400 Otwock

Elżbieta Steczkiewicz (13 lat), Chyże 22-670 Bełżec, pow. Tomaszów Lubelski, szuka przyjaciółek.

Pomogło!

Minęło sporo czasu od chwili, kiedy zdecydowałam się napisać do Was list, pełen żalu i skarg na chłopców — moich kolegów. Otrzymałam odpowiedź — radę, za którą bardzo dziękuję. Zastosowałam się do Waszych poleceń: przeprowadziłam w klasie dyskusję na temat zachowania chłopców. Przyznaję, że wątpiłam w jakikolwiek sukces, myślałam, że będzie jeszcze gorzej! Dlaczego? Otóż najpierw chłopcy obrazili się, zadarli nosa i byli jeszcze gorsi. Szybko jednak zrezygnowali z takiej gry i powolutku zaczęli się poprawiać, zmieniać na lepsze! Potrzebowali naszej pomocy. Obecnie jest idealnie. Nie brakuje żartów, śmiechów, zrozumienia, no i powagi, kiedy jest potrzebna. Wszystko wpadło we właściwy rytm. Znowu jesteśmy dobrą klasą, mamy sportowców, „olimpiadowców", działaczy... Droga Redakcjo — Wam zawdzięczam taki obrót sprawy. Na pozór wydawała się może błaha, a jednak sama nie potrafiłabym nic zdziałać, dlatego, jeszcze raz Wam dziękuję za pomoc. Zaufałam Wam i nie zawiodłam się...

Wdzięczna „A", Waplewo

GWIAZDOZBIÓR

JANEK

z „Czterech pancernych...”

czyli

JANUSZ GAJOS

– Rola w takim serialu, jak „Czterej pancerni i pies” jest niewątpliwie dla młodego aktora wielką szansą, ale jest to chyba także duże ryzyko zawodowe? – zapytałam Janka, czyli Janusza Gajosa.

– Tak. To była szansa. Ale były momenty, gdy zastanawiałem się... Bądź co bądź byłem młodym aktorem i to był poważny sprawdzian.

– Ale to nie pierwsza Pana rola?

– Pierwszą moją rolą była rola pana Tadeusza w XII księdze Mickiewiczowskiej epopei. Zagrałem ją w w przedstawieniu szkolnym. Po skończeniu średniej szkoły postanowiłem zdawać egzamin do szkoły filmowej w Łodzi. Przedtem zamierzałem zostać architektem, ale tak się złożyło, że decyzja wybrania zawodu aktora pojawiła się jak miłość, która przychodzi niespodziewanie i zostaje. Zdawałem ten pierwszy aktorski egzamin dwa razy niepomyślnie, potem trafiłem do wojska. Po odbyciu służby wojskowej podjąłem próbę jeszcze raz i tym razem wypadła po mojej myśli.

– Pana pierwsza praca w zawodzie aktora?

– Jeszcze przed wojskiem pracowałem w teatrze lalek w Będzinie. Z sympatią wspominam tamtą dziecięcą publiczność, jej ostrzegawcze okrzyki skierowane do aktorów, uprzedzające o niebezpieczeństwie: „Wchodź! Nie wchodź!”

– Pana pierwszym filmem był film „Panienka z okienka”?

– Tak, jeszcze w szkole filmowej. Zaangażowała mnie reżyser tego filmu i opiekunka mojego roku Maria Kaniewska. Grałem charakterystyczną rolę Pietrka.

– A jakie odniósł Pan wrażenie, pierwszy raz widząc się na ekranie?

– Przeraziłem się, ponieważ wyobrażałem sobie, że wyglądam zupełnie inaczej, może ładniej... potem przyzwyczaiłem się do swojej postaci. Pierwszą rolę teatralną dostałem jeszcze w okresie studiów...

– Dziś uzbierało się Panu wiele ról i teatralnych, i filmowych. Nie da się chyba jednak ukryć, że właśnie rola Janka z „Czterech pancernych” przyniosła Panu największą popularność... łącznie z kłopotami uwalniania się od tłumów młodzieży na ulicy, w tramwaju...

– ...na plaży, wszędzie. Rzeczywiście. To bywało kłopotliwe.

– Rolę Janka znają wszyscy. I wszyscy pamiętamy wiele niebezpiecznych sytuacji, w jakich brał Pan udział na filmowym planie. Jak wyglądały te niebezpieczne sytuacje od kulis?

– Nie było udawania w „Czterech pancernych”. To, co działo się na ekranie działo się naprawdę. Tyle, że po zakończeniu zdjęć martwi podrywali się na obiad. Zdradzę pani, że zdarzyły się mi w czasie tej pracy dwa wypadki. Zostałem poparzony wybuchem ślepego ładunku i potrącił mnie samochód. Z powodu tego drugiego wypadku trafiłem do szpitala i sześć tygodni leżałem w gipsie. Na szczęście scenariusz „Czterech pancernych” przewidywał dla mnie ujęcie w kostiumie „z gipsem”. Tak więc zagrałem te sceny zgodnie nie tylko ze scenariuszem, ale i z rzeczywistością.

– Ładne szczęście!

– No tak, wolałbym, żeby się nie powtórzyło. „Pancerni” zabrali mi pięć lat pracy w zawodzie. Bardzo sobie cenię ten okres w życiu. Dał mi on wiele doświadczeń, łatwość w obcowaniu z kamerą.

– A po serialu?

– Oczywiście teatr i od tej pory zdarzyły mi się inne role w filmach. Wystąpiłem w kilku nieseryjnych na przykład w „Stajni na Salwadorze” Komorowskiego, „Małym” Dziedziny, pracowałem też w łódzkim teatrze TV w czasach, gdy jeszcze spektakle były grane na żywo.

– Teraz właściwie takich spektakli już w TV się nie robi...

– Tak, ale tamte miały swój niepowtarzalny rzadko dający się osiągnąć efekt. W którymś momencie przedstawienie nabierało najbardziej autentycznych rumieńców, było tak, jak w najprawdziwszym teatrze, gdzie bezpośrednio na gorąco widz ocenia aktora. Bardzo cenię i te doświadczenia.

– Był Pan związany z łódzkim Teatrem im. St. Jaracza, potem z Teatrem Komedia w Warszawie, warszawskim Teatrem Polskim, a obecnie pracuje Pan w warszawskim Teatrze Kwadrat pod dyrekcją Dziewońskiego...

– To teatr, w którym wiele jest do powiedzenia poprzez formy kabaretowe. Bardzo mnie to interesuje. Komedia wydaje mi się jedną z trudniejszych sztuk, ale tym bardziej jest pociągająca.

Rozmawiała: **MARIA LERMAN**
Zdjęcia: **Romuald Pieńkowski**

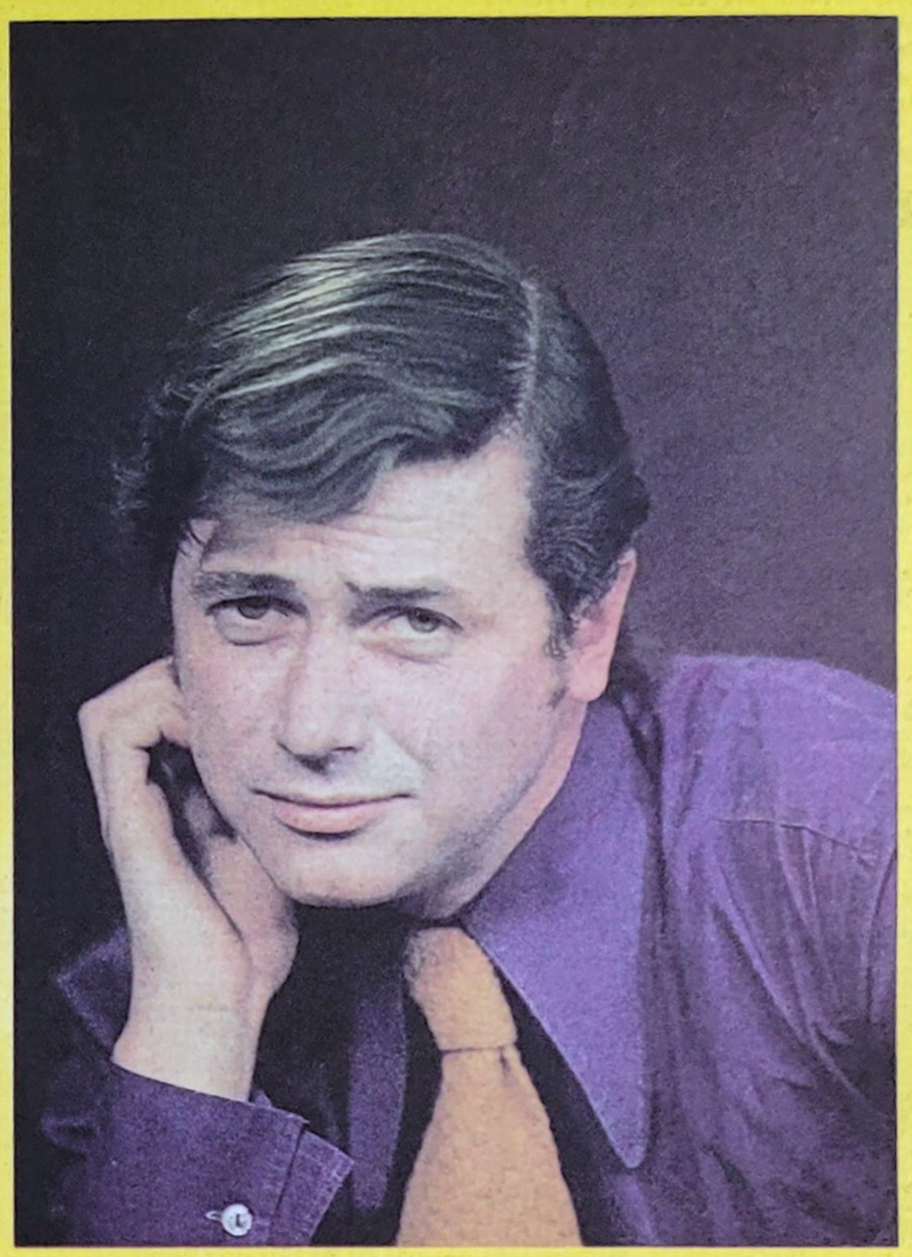

5 minut z MAGDĄ

Jeszcze tylko kilka dni i cześć. Powiemy sobie do widzenia i się rozejdziemy, każdy w swoją stronę. Będzie jeszcze zabawa pożegnalna, ale to niewiele znaczy. Nasza „ósma be” przestanie istnieć. Oczywiście, będziemy się widywać, mieszkamy przecież wszyscy w pobliżu, niektórzy spotkają się we wrześniu w tych samych szkołach, może nawet w tych samych klasach, ale to już nie będzie to samo.

Żal mi. W gruncie rzeczy nasza klasa była fajna. Co prawda nieraz się kłóciliśmy, a parę lat temu to i do rękoczynów dochodziło, były różne grupy i grupki, które wzajemnie niezbyt się kochały, ale tak w sumie, to nikt z nas do innej klasy by chyba chodzić nie chciał. Pewnie jestem w tym momencie trochę sentymentalna i doszukuję się na siłę jakichś głębokich powodów, podejrzewam, że największą rolę grało w tym wszystkim zwyczajne przyzwyczajenie. Ale czy przyzwyczajenie należy lekceważyć?!

Bo to się wszystko dzieje tak nagle. Niby było wiadomo, że to już niedługo, że do czerwca tylko, ale ten czerwiec przyleciał tak szybko, że mnie trochę zaskoczył. Chyba zresztą nie tylko mnie. Hanka mówi, że też się tak jakoś głupio czuje, a Jagoda, która wszem i wobec głosiła od wieków, że ona to ma wszystko gdzieś i przejmować się czymkolwiek nie ma zamiaru, kupiła sobie pamiętnik i daje go każdemu z naszej klasy do wpisania się. I zdjęcie chce, żeby wkleić. Takich pamiętników kursuje w tej chwili po klasie kilkanaście, dziewczyny wypisują w nich długie epistoły, chłopcy krygują się, że niby nie, że niby po co, ale w końcu też piszą.

Jestem przekonana, że tak naprawdę, to każdy z nas ma silnego pietra. Głośno nikt się do tego nie przyzna, ale bać to się boi. Tutaj wiadomo było, kto jest kto, co powie, co zrobi, na co można liczyć. A teraz zacznie się niewiadoma. I to jest denerwujące.

Jeszcze miesiąc temu strasznie się cieszyłam, że już koniec z podstawówką, a teraz to tak sobie w głębi ducha myślę, że wcale nieźle by było, gdyby tak... cofnąć kalendarz do tyłu, i żeby mieć przed sobą jeszcze jeden rok – żebyśmy teraz nie kończyli ósmą, ale zdawali do ósmej. Na szczęście są to marzenia, które nie mają żadnej szansy spełnienia się. Trudno, trzeba przeskoczyć! Bo przecież ciągle są jakieś sytuacje, które budzą w decydującej chwili obawy. Gdyby można je było faktycznie odsunąć, to wszystko by stało w miejscu. To nie ja wymyśliłam. Tak jest. I chociaż niezbyt mnie to w tej chwili pociesza, nie, nie mogę się uczyć. Najwyżej założę sobie taki pamiętnik jak Jagody, jeszcze zdążę.

MAGDA

GRZEGORZ dał słowo, że pożyczy koledze książkę, choć bardzo nie miał na to ochoty. Książki nie przynosi i ciągle wymyśla nowe powody, które mają go usprawiedliwić.

DOROTA jest zdania, że z danego słowa nic nigdy nie zwalnia.

MAREK uważa, że czasy Zawiszy dawno minęły.

„SUDDENLY” twierdzi, że gdy ktoś obiecuje, a potem nawala, to jest zwyczajnym kłamcą...

A OTO WYPOWIEDZI KOLEJNYCH DYSKUTANTÓW:

Lekceważenie... siebie

Co to jest honor? „Cześć, uczciwość, poczucie godności własnej” (Słownik wyrazów obcych). Kto więc szasta słowem honoru, lekceważy samego siebie i równocześnie poddaje w wątpliwość własną uczciwość. Jestem zdania, że słowo honoru można dawać w sytuacjach absolutnie pewnych, a że takich sytuacji jest niewiele — trzeba bardzo uważać.

Laura B., Warszawa

Naprawiać błędy

Obiecałam koleżance pożyczyć zeszyt z piosenkami. Minął tydzień, dwa, trzy, a ja nie mogłam go jakość przynieść. Koleżanka obraziła się na mnie. Taki drobny fakt wystarczył, żeby zerwać przyjaźń z najlepszą, najwierniejszą koleżanką. Czuję się winna. Dlatego myślę, że kiedy nie dotrzymamy słowa, trzeba szybko naprawić swój błąd. Tylko jak? Czy teraz koleżanka weźmie ode mnie ten zeszyt?

Trzynastolatka

Odważnie mówić nie

Ludziom, którzy nie dotrzymują słowa, przestajemy wierzyć. Dlatego jeśli nie chcemy czegoś zrobić, nie mamy pewności czy się to nam uda, należy odmówić. I dobrze jest taką decyzję uzasadnić, żeby nikt nie myślał, że jesteśmy egoistami.

Joanna

Egoista

Uważam, że Piotr nie ma racji. Z listu wynika, że jest zwykłym egoistą. Czy Krzysztof mógł przewidzieć, że złamie nogę? Z danego słowa zwolnił go nieprzewidziany wypadek. nic nie obchodzi. Twierdzą, że jeśli dałem słowo, to zdjęcia już powinny być gotowe i żadne trudności ich nie obchodzą.

Genek z Chorzowa

Potrzebna wyrozumiałość

Nie warto obiecywać! Przez to, że obiecałem znalazłem się w kłopotliwej sytuacji. Dwaj moi koledzy prosili, żebym wykonał im w szkolnej ciemni reprodukcje zdjęć. Wątpili czy to zrobię, dałem więc słowo honoru. Mimo jednak najlepszych chęci zdjęć do tej pory nie zrobiłem. Ciemnia była zawsze zajęta, bo były inne, pilniejsze prace do wykonania. Tłumaczyłem to kolegom, ale ich to nic nie obchodzi. Twierdzą, że jeśli dałem słowo, to zdjęcia już powinny być gotowe i żadne trudności ich nie obchodzą. Piotr powinien być wyrozumiały, powinien zdobyć się na współczucie dla kolegi, a nie przejmować się przegranym meczem i obwiniać za to innych.

Danka R.

Irytujące wygodnictwo

Ustawić się w życiu. Unikać ryzyka. Tak radzą inni czytelnicy. Ale to przecież znaczy: brać ile się da od innych, a nie dawać nic od siebie; cicho, bokiem skradać się, żeby nic nie robić dla innych. A przecież nie można zgodzić się z taką postawą. Takie wygodnictwo jest irytujące.

Wanda

Chociaż już w następnym numerze planujemy zakończenie tej dyskusji, nie znaczy to, że ją definitywnie „zamykamy”. Wręcz przeciwnie! Jak zawsze czekamy na Wasze wypowiedzi.

Co sądzicie na ten temat?

KN

SŁOWO HONORU

Czy SŁOWO HONORU zobowiązuje, czy nie?

Jak lepiej? – Obiecywać czy nie obiecywać?

Kiedy z danej obietnicy można być zwolnionym i czy w ogóle taka sytuacja jest możliwa?

Na kopertach zaznaczcie hasło: SŁOWO HONORU.

KLUB NASTOLATKÓW

DALSZY CIĄG ZE STR 3

dziadkom w żniwach, kto na miejscu zorganizuje Nieoboiową Akcję Letnią.

W ubiegłym roku – podobnie jak i dwa, i trzy lata temu – do nalowskiego zastępu „Niezapominajek" należeli prawie wszyscy z rodziny Hanulów. Gośka co prawda krócej niż reszta, ale ona w nagrodę za dobrą pracę w harcerstwie wyjechała na międzynarodowy obóz do Rumunii (Gośka jest przyboczną 77 dh im. Węgrzynowicza, macierzystej drużyny Basi Piekarczyk, jednej z laureatek tegorocznego Plebiscytu Zastępowych „Najlepsi z Najlepszych"). W Rumunii było fajnie, ale i w Rabie nikt się nie nudził. Na

Rada drużyny w jednej rodzinie

wycieczkach zdobyli większość beskidzkich szczytów – Kotolnicę, Turbacz, Lubań i Stare Wierchy Z zebranych pod Lubaniem i u źródeł Sochy papierów, butelek i puszek po konserwach ułożyli wysoką, kunsztowną piramidę – pomnik turysty orzez małe „t". Pracowali w szkółkach leśnych i przy sianokosach, zwalczali stonkę i zbierali jagody. Całe lato suszyli zioła i sprzedawali je na skupie prowadzonym przy pomocy Ojca przez Spółdzielnię Uczniowską, a za otrzymane pieniądze urządzili wycieczkę na Śnieżnicę.

W czasie żniw podzielili się pracą: lubiąca domowe zajęcia Grażyna gotowała dla wszystkich obiad i zabawiała malutką Kasię, ośmioletni Bogdan wraz ze starszą o trzy lata Elą kręcili powrósła, a reszta pomagała dorosłym w polu. Potem, gdy już było po wszystkim, urządzili bardzo uroczyste dożynki – z muzyką, własnymi piosenkami, wystawą płodów rolnych i wspaniałymi wieńcami z największych zbóż i kwiatów. Jeden z nich Ela zawiozła do Krakowa na uroczyste zakończenie Nieobozowej Akcji Letniej

PAŃSTWO HANULOWIE TO PRAWDZIWIE HARCERSKA RODZINA. PAN **JULIAN-OJCIEC** – JEST HARCMISTRZEM I OBECNIE PRZEWODNICZY KOMISJI REWIZYJNEJ HUFCA. PANI **MARIA** – DRUŻYNOWA – MA STOPIEŃ PODHARCMISTRZA. **HALINA** JEST JUŻ DRUŻYNOWĄ, TAK JAK MAMA, PO MATURZE TYTUŁ TEN ODDA ZAPEWNE **GRAŻYNIE. TERESA** DO NIEDAWNA ZASTĘPOWA „WĘDRUJĄCYCH GITAR", TERAZ KIERUJE PRACĄ SAMORZĄDU SZKOLNEGO I SPÓŁDZIELNI UCZNIOWSKIEJ. **GOŚKA** JEST PRZYBOCZNĄ, **ELA** – ZASTĘPOWĄ „MISIÓW", A **BOGDAN** OD TAK DAWNA CHODZI NA ZBIÓRKI, ŻE NAZYWAJĄ GO „NALOWSKIM DZIECKIEM". TYLKO **KASIA** JESZCZE NICZYM NIE ZASŁUŻYŁA SIĘ HARCERSTWU, ALE ONA NIE MA NAWET CZTERECH LAT...

HONORATA RUDZKA

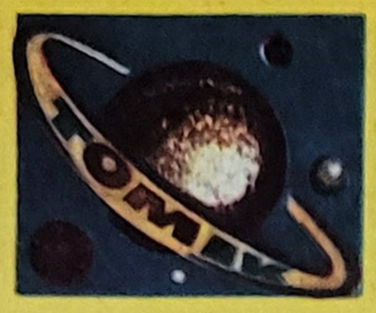

Pragnę w imieniu Iwony podziękować za szybką odpowiedź na jej pytanie przede wszystkim Jerzemu Wójcickiemu, którego list drukujemy, ale również Pawłowi Goskowi z Warszawy, Ryszardowi Matuszewskiemu z Janowca, Mirosławowi Łatkowskiemu z Łodzi oraz wszystkim innym korespondentom TOMIKA. Odpowiedź Iwonie jest oczywiście kontrowersyjna, ale – przyznacie to sami po przeczytaniu jej – bardzo ciekawa.

Zdzisław Łoś ze Skoriyska Kom. pyta w liście: „czy jest możliwe istnienie w naszym Układzie Słonecznym małych, nie odnalezionych do tej pory planet?" Oczywiście, najlepszym tego dowodem jest doniesienie Jarosława Parasiuka, które zamieszczamy poniżej.

I jeszcze jedno: otrzymałem szereg listów z opisem częściowego zaćmienia Słońca, które miało miejsce 11 maja. Niestety, nie zamieszczę ich w TOMIKU – za co z góry przepraszam – ponieważ nie uważam, aby było to tak ważne. Znacznie ciekawsze problemy, które opisaliście w swoich korespondencjach, czekają na swoją kolejkę do druku.

Do zobaczenia za tydzień

prezes TOMIKA ST. BOROWIECKI

Zlodowacenia na ZIEMI a pierścienie SATURNA

Odpowiedź na pytanie Iwony

CHCIAŁBYM odpowiedzieć na pytanie Iwony zamieszczone w numerze wtorkowym (z 13.V.75 r.), a dotyczące powiązań między Ziemią i Saturnem. Wszystkie dane, które podam, zamieszczane były w 1535 numerze „Przekroju" z dn. 8 września 1974 roku.

W historii Ziemi znane są cztery okresy lodowcowe, natomiast w pierścieniu Saturna znajdują się również cztery jasne pasma, przedzielone pasmami ciemniejszymi. Uczeni radzieccy z dr. Maksymowem na czele, uważają, że zbieżność ta nie jest przypadkowa; w pierścieniu Saturna, według teorii dra Maksymowa, zanotowana jest w postaci jasnych i ciemniejszych pasm historia geograficzna naszej planety za ostatni milion lat.

Przede wszystkim należy rozpocząć od lodowców, jako że odgrywają w całej sprawie największą rolę. Pod przewodnictwem dra Maksymowa, ekipy geografów z katedry geografii uniwersytetu leningradzkiego prowadziły badania lodowców północnego Uralu, Ałtaju, Kaukazu i Pamiru. Zasadniczym wnioskiem kilkuletnich badań było stwierdzenie, że ruch lodowców odbywa się na podstawie pewnych reguł, skokowo, według ustalonego systemu. Inny leningradzki uczony, Sznitnikow, ustalił, że moreny popychane przez lodowce również powstają rytmicznie, a cykl ich tworzenia się wynosi 1850 lat. Tak więc ukształtowanie się obrazu Ziemi jest podporządkowane cyklowi o nazwie RYTM 1850. Badania dra Maksymowa dowiodły, że dłuższe postoje lodowców na stokach głównych pasm górskich odbywały się zgodnie z RYTMEM 1850; spływając z gór, lodowce miały po drodze 11 postojów i drugie tyle w drodze powrotnej. Mając te dane, można obliczyć długość każdego z okresów lodowcowych: 1850 × 22 = 40.700 lat. Cyfra ta wyraża okres wahania osi ekliptyki wyliczony i uzasadniony przez astronoma serbskiego Milankovića w 1939 roku. Milanković ustalił, że zmiany w nachyleniu osi ekliptyki – wielkiego koła, jakie zatacza Słońce w ciągu roku – następują co 40.700 lat. W zależności od tego, Słońce przekazuje na Ziemię mniejsze lub większe ilości ciepła i światła. Sygnał rozpoczęcia ery lodowcowej dociera więc do Ziemi z kosmosu i wiąże się ze spadkiem temperatury na skutek nachylenia osi ekliptyki. Okresem tym kierują dwa rytmy: wielki – makroproces 40.700 i średni – mezoproces 1850.

Ustalono również, że istnieje trzeci rytm – mikroproces 22, odpowiadający 11-krotnej zmianie poziomu lodowca, powtarzającej się dwa razy. I tak:

– co 22 lata wzrasta ilość spadających na Ziemię meteorytów

– co 22 lata pojawiają się w pobliżu Ziemi komety

– wybuchy energii gwiezdnej następują co 22 lata

– aktywność Słońca zmienia się zgodnie z tym samym rytmem.

Prawa rytmów działają więc i w kosmosie i na Ziemi.

Ponieważ Ziemia jest tylko jedną z planet Układu Słonecznego, dr Maksymow doszedł do wniosku, że prawo rytmów powinno obowiązywać wszystkie pozostałe planety naszego układu. Spośród wszystkich planet wybrano Saturna jako cel obserwacji. A dlaczego? Właśnie dlatego, że zachodzi tu zaskakujące podobieństwo liczbowe między ilością epok lodowcowych na Ziemi, a ilością jasnych plam w pierścieniu Saturna (po 4).

Okresy lodowcowe na Ziemi nie zawsze przebiegały równomiernie, np. wielki odstęp dzieli pierwszy okres od drugiego. Podobnie pierwszy jasny pas Saturna jest oddzielony od drugiego szeroką ciemną przerwą. Analiza zdjęć wykazała, że czwarty pas Saturna, przypisywany czwartemu okresowi lodowcowemu, składa się z siedmiu cieńszych pasów, oddzielonych od siebie pasmami ciemniejszymi. Czwarty okres lodowcowy, przebiegający obecnie na Ziemi, miał do tej pory 7 etapów, a do przebycia pozostały mu jeszcze cztery! Tak więc każdy z tych etapów liczy po 1850 lat, co świadczy o występowaniu RYTMU 1850. Ponadto występuje również na Saturnie mikroproces 22, gdyż wybuchy materii Saturna następują co 22 lata.

Mimo dość już szerokiej wiedzy i zakresu omawianego tematu, astronomowie i geolodzy odnoszą się sceptycznie do wniosków dra Maksymowa twierdząc, że wprowadzanie tak ścisłej zależności między Ziemią a odległym Saturnem jest zbyt ryzykowne, choć związek taki jest możliwy. Być może wraz ze wzrostem poziomu wiedzy sprawy te zostaną całkowicie wyjaśnione.

Jerzy Wójcicki
Częstochowa

Oto zdjęcie Saturna wykonane za pomocą teleskopu. Widoczne są na nim tylko dwa pierścienie, chociaż wiadomo, że planeta ma ich cztery. Na fotografii z prawej: widzicie fragment zdjęcia lewego (wewnętrzny pierścień z ciemną przerwą z lewej strony planety) w dużym powiększeniu. O ile na zdjęciu lewym pierścień wewnętrzny wyglądał jako całość, to na lewym widać ciemniejszy pas rozdzielający go na dwa. Czwarty pierścień niestety jest niewidoczny, chociaż powinien się znajdować w centralnej części ciemnej przerwy blisko planety.

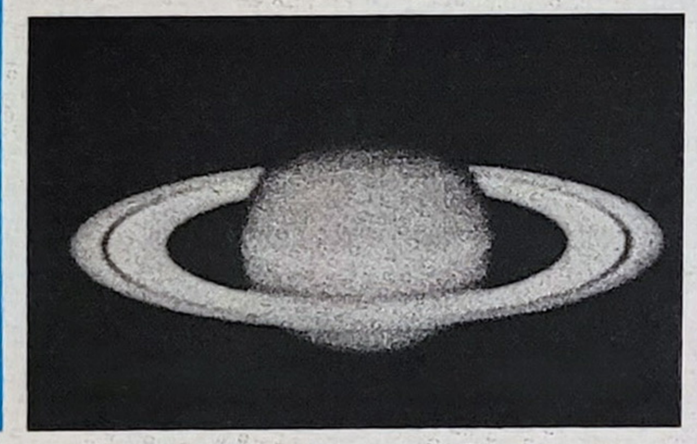

TRZYNASTY KSIĘŻYC JOWISZA

JOWISZ jest nie tylko największą i najmasywniejszą planetą systemu słonecznego, ale ze wszystkich planet ma też najwięcej księżyców, bo aż 13. Być może, że ma ich nawet jeszcze więcej, lecz są one tak małe, że uchodzą uwadze obserwatorów. Mogą to bowiem być ciała zaledwie o kilkumetrowej średnicy, odbijające niewiele światła słonecznego. Należałoby więc dokonywać żmudnych obserwacji i mieć przy tym nieco szczęścia, aby dostrzec na niebie tak słabo świecące punkty.

Takie właśnie szczęście dopisało niedawno astronomowi amerykańskiemu Charlesowi T. Kowalowi, który 14 września 1974 roku odkrył w pobliżu Jowisza nieznany obiekt 20 tej wielkości gwiazdowej. Odkrycia tego dokonał na kliszach fotograficznych. Na podstawie tych obserwacji inni specjaliści amerykańscy od mechaniki nieba podjęli próbę wyznaczenia orbity tego ciała. Ich obliczenia wykazały, że odkryty przez Kowala obiekt to prawdopodobnie nie znany dotychczas trzynasty księżyc Jowisza. Ma on około 5 – 8 km średnicy i porusza się po nieznacznie spłaszczonej orbicie w odległości 12,4 mln km od planety, dokonując pełnego obiegu w ciągu 282 dni. Są to oczywiście dane prowizoryczne, ponieważ orbita nowo odkrytego księżyca została obliczona na podstawie zaledwie 7 obserwacji.

A zatem system Jowisza składa się z 13 księżyców. Nazwy własne posiada pięć najbliższych. Pozostałe oznacza się jedynie rzymskimi cyframi według kolejności odkrycia.

Jarosław Parasiuk
Ostrów 25a
14 100 Ostróda

Kiedy zgłosił się u lekarza-internisty, ten oświadczył ze zdumieniem, że trzydziestolatek mógłby mu pozazdrościć znakomitego stanu zdrowia.

– Anatolu Anatoljewiczu! – wykrzyknąłem z zachwytem, wysłuchawszy jego doniesienia naukowego. – Anatolu Anatoljewiczu! Dokonał pan wielkiego odkrycia! Należy natychmiast rozpocząć masową produkcję pańskiego ENRO. Przecież ten eliksir przyda się wielu ludziom – tym, którzy pracują na dużych wysokościach, dekarzom, alpinistom, linoskoczkom, a także dzieciom i pijusom, mieszkającym na wysokich piętrach i nawet kobietom myjącym okna. A jego uboczne działanie odmładzające?! Przecież to prawdziwy cud! Pomyśleć tylko...

– Niestety sprawa nie jest taka prosta, jak się panu wydaje – przerwał moje zachwyty uczony. – Muszę przyznać, że na razie ENRO działa jedynie w tym przypadku, jeśli upadek następuje nie później niż trzy minuty po jego zażyciu. Przecież dekarze nie mogą łykać ENRO co trzy minuty. Pracuję obecnie nad przedłużeniem czasu działania eliksiru. Jasne, że i w obecnej postaci mój eliksir potrzebny jest ludziom i godzien jest masowej produkcji. Ale żeby zorganizować jego stałe dostawy, należy udowodnić, że ENRO działa uniwersalnie, a nie wybiorczo.

Sam dotychczas nie wiem, czy u wszystkich jednostek wywołuje on efekt natychmiastowej regeneracji organizmu, przecież doświadczenia przeprowadzono dotąd na jednym człowieku, to jest na mnie. Potrzebni są ochotnicy do doświadczeń... Trzeci już rok krążę po miastach i siołach w ich poszukiwaniu i nie mogę znaleźć. Na świecie jest bardzo wielu odważnych ludzi, ale wystarczy, bym wytłumaczył warunki doświadczenia, to znaczy wyjaśnił, że ENRO może nie zadziałać w chwili upadku – i nawet najodważniejsi nie wiadomo czemu rezygnują ze skoku... Przecież i tu, do Nadziejowa Spełnieniowa, przyjechałem w wyniku umowy z pewnym śmiałym tutejszym spadochroniarzem. Ale i on, choć przeprowadziłem z nim rozległą pracę naukowo-wyjaśniającą, teraz waha się i chciałby uniknąć udziału w tym doświadczeniu... Jutro znów go będę namawiał... Nie, to nie takie proste... Na przykład czy pan osobiście zgodziłby się wykonać skok z dziesiątego piętra?

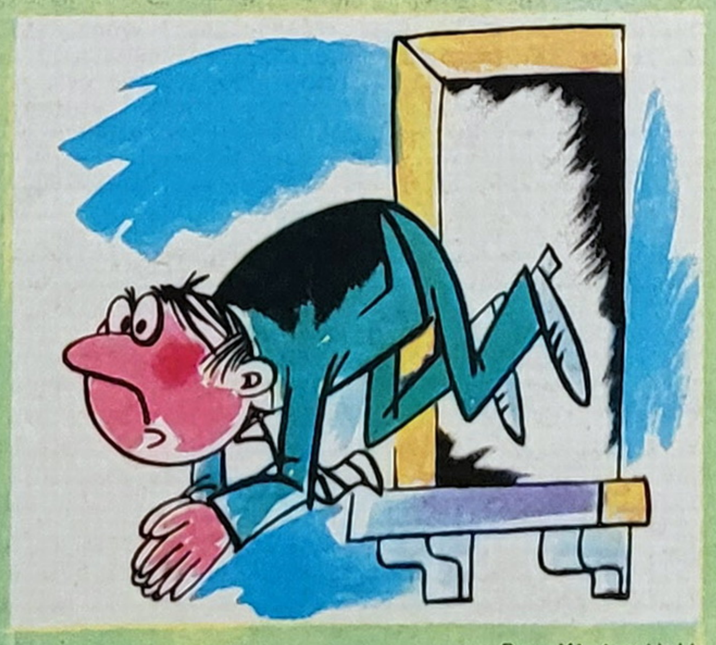

Rys. W. Lewiński

– Obawiam się, że taki wyczyn naukowy byłby nie na moje możliwości.

– No widzi pan, a przecież przed chwilą słyszałem „Wielkie odkrycie"! – z urazą odparł mój współlokator.

Mimo zmęczenia długo nie mogłem tego wieczora usnąć. Przejąłem się kłopotami czcigodnego uczonego, który marzy, by podarować ludzkości swój czarodziejski eliksir i nie może, ponieważ sami ludzie nie chcą mu pomóc w tym przedsięwzięciu. Ogromnie chciałem być przydatny, ale od dzieciństwa mam lęk przed dużymi wysokościami i zdawałem sobie sprawę, że decyzja skoku jest dla mnie prawie niemożliwością. W dodatku mimowoli wspomniałem wszystkie poprzednie kontakty z myślicielami, odkrywcami i wynalazcami. Z reguły nie przynosiły mi szczęścia. Szczególnie gorzkie było doświadczenie z noszeniem sierści, w wyniku którego nie zdobyłem należytego wykształcenia. A tym razem groziło mi coś więcej: utrata życia.

Wśród takich to myśli usnąłem, a obudziwszy się odkryłem, że mój współlokator wyszedł już w swoich naukowo-wyjaśniających interesach. Ruszyłem więc powałęsać się po Nadziejowie Spełnieniowie, który okazał się nader przyjemnym miastem. Ale myśl, że ENRO może nigdy nie ujrzeć masowej produkcji, legła kamieniem na moim sercu i przeszkadzała w oglądaniu z należytą uwagą miejskich osobliwości.

Kiedy powróciłem wieczorem do hotelu, Anatol Anatoljewicz był już w pokoju. Z niewesołą, a nawet zgnębioną twarzą siedział w fotelu. Wydało mi się nawet, że dostrzegam na niej ślady niedawnych łez.

C.d n.

ŚWIAT MŁODYCH

MIESIĘCZNIK GAZETA NASTOLATKÓW

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: al. 3 Maja 7, 40-096 Katowice.

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki, Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wojciech Pielecki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska, Bożena Zwolińska.

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	28-56-18

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA — RSW „Prasa—Książka—Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00—561 Warszawa, ul. Koszykowa 6 A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52, 29-56-19. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół w miast wojewódzkich i powiatowych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji/ szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo - telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od krajowej, przyjmuje biuro Kolportażu RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Wronia 23, 00-840 Warszawa, konto PKO I-8-100024. Sprzedaż numerów zdezaktualizowanych na pisemne zamówienie prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Towarowa 28, 00—958 Warszawa.

Opracowanie graficzne: T. Baranowski

Redakcja techniczna: H. Żochowska

DRUK: Państwowe Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego", Warszawa.

Zam. 66/3642 II-74
Nr indeksu — 35039/35046.

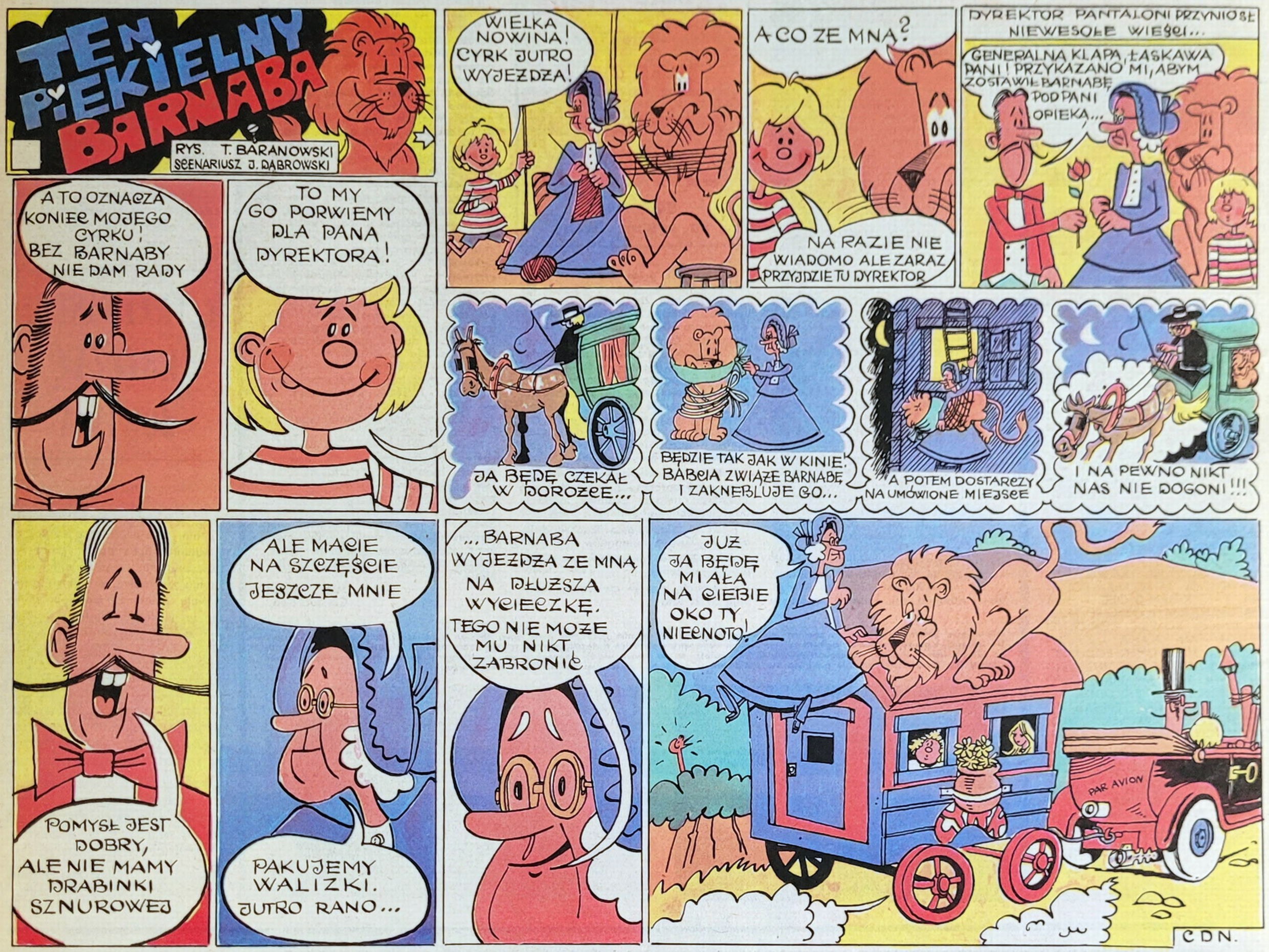

CHŁOPIEC Z PIĘCIOMA NIE

WADIM SZEFNER

Tłum. Zofia Dudzińska

20.

Anatol Anatoljewicz urodził się w pewnym wielkim mieście. W szkole był prymusem z chemii, botaniki i biologii, ale w owych latach nie snuł żadnych planów kariery naukowej. Kiedy uczęszczał do ostatniej klasy, jego młodszy brat bawiąc się na oknie bez opieki rodziców spadł z wysokości szóstego piętra i zabił się. Tak silnie podziałało to na młodziutkiego Anatola, że postanowił znaleźć środek, by ludzie, którzy spadają z dużej wysokości, nie ginęli lecz pozostawali żywi i zdrowi.

Zdając sobie sprawę, że zadanie jest nadzwyczaj trudne i niezwykłe, Anatol powoli się do niego przygotowywał. Po zdaniu matury wstąpił do Akademii Medycznej, a po jej ukończeniu wysłuchał cyklu wykładów w Instytucie Chemii i wreszcie całkowicie poświęcił się botanice, specjalizując się w roślinach leczniczych.

Odbył wiele ekspedycji botanicznych i pewnego razu w syberyjskiej tajdze usłyszał, że niektóre zwierzęta będąc ranne szukają jakiejś niepozornej trawki. Po zjedzeniu tej trawki zwierzę szybko wraca do zdrowia, a rany — jakby nigdy nie było. Anatol Anatoljewicz z ogromnym trudem odnalazł tę roślinę i zaczął ją hodować. Potem zrobił wyciąg z nasion owej trawy i zalecił go dla szpitali pogotowia ratunkowego. Lekarstwo sprzyjało szybkiemu gojeniu się ran i złamań kości i odniosło wielki sukces w świecie lekarskim. Jednakże nie tego szukał uczony. Potrzebny był mu zestaw, który działałby natychmiast, w momencie urazu. I wkrótce pojął, że taki zestaw może uzyskać wyłącznie w drodze syntezy. Dalsze lata życia poświęcił w całości badaniom, wykonał mnóstwo doświadczeń chemicznych, i oto trzy lata temu, w sześćdziesiątym pierwszym roku życia, udało mu się osiągnąć to, do czego dążył od lat młodzieńczych.

Należało sprawdzić praktycznie siłę działania ENRO. Będąc zdecydowanym przeciwnikiem doświadczeń na bogu ducha winnych zwierzętach, Anatol Anatoljewicz postanowił pierwsze doświadczenie przeprowadzić na sobie. Ponieważ zaś mieszkał wciąż w tym samym lokalu, pierwszy skok postanowił wykonać z tego samego okna, z którego wypadł jego nieszczęśliwy młodszy brat.

Pewnego razu latem, kiedy cała rodzina była na letnisku, punktualnie o drugiej w nocy dodał do szklanki z wodą siedem kropel ENRO i po wypiciu eliksiru stanął na parapecie otwartego okna. Pokonawszy strach, po kilku sekundach rzucił się w dół z wysokości szóstego piętra...

W chwili upadku zdawało mu się, że pęknie mu zaraz serce, a potem poczuł silne, bardzo bolesne uderzenie i na chwilę stracił przytomność. Wstał jednak z bruku żywy i cały i w dodatku z tak błogim uczuciem, jakby wykąpał się w życiodajnym źródle. Za to jego garnitur popękał w szwach, oderwały się guziki, od butów odleciały podeszwy, a klucz od mieszkania wypadł z kieszeni i trzeba było go szukać pełzając na czworakach po ciemnym podwórku.

Ponieważ hałas spowodowany upadkiem ciała był znaczny, wielu mieszkańców domu obudziło się i rzuciło do okien. Widząc w niepewnym świetle nocy jakiegoś podejrzanego obdartusa, pełzającego po podwórku w poszukiwaniu nie wiedzieć czego, zaczęli wołać dozorcę. Dozorca także nie od razu rozpoznał w tym indywiduum szacownego uczonego i nawet chciał go odprowadzić na milicję. Ale wreszcie wszystko zakończyło się szczęśliwie i znalazłszy klucz Anatol Anatoljewicz wrócił do mieszkania.

W ciągu następnych dwu tygodni pełen poświęcenia pracownik naukowy wykonał jeszcze osiemnaście skoków z okna, które zakończyły się równie szczęśliwie jak pierwszy.

Aby nie niszczyć garniturów wynalazca wymyślił specjalny strój ochronny — brezentową kurtkę, takie same spodnie i zwykłe filcowe buty. Mieszkańcy lokali, których okna wychodziły na podwórko, przyzwyczaili się stopniowo do doświadczeń wykonywanych przez uczonego i nie wzywali już dozorcy. Anatol Anatoljewicz stwierdził, że lokatorzy domu i znajomi przy spotkaniach na ulicy przestali go poznawać. Wówczas przyjrzał się sobie dokładniej i skonstatował dziwny fakt, że od skoku do skoku wygląda coraz młodziej. Zniknęły zmarszczki i siwizna, na policzkach wykwitł młodzieńczy rumieniec... Poza tym zauważył, że nie ma już zadyszki, na którą cierpiał z racji wieku, że zaczął lepiej widzieć i słyszeć oraz, że poprawiła mu się pamięć i stała się prawie taka jak za czasów studenckich.

Ciąg dalszy na str. 7